



CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

NR 8 (392) – SIERPIEŃ 2023

ROBERT SŁONKA (O/BIELSKO-BIAŁA)

Dolomity



FOT. SEBASTIAN KULIŃSKI - PTT BIELSKO-BIAŁA

Monte Pelmo w chmurach

W dniach 15-22 lipca 2023 roku członkowie oraz sympatycy Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego O/Bielsko-Biała, czyli Kasia, Marta, Cezar, Sebastian i Robert wspinali się, wędrowali oraz spacerowali

w włoskich Dolomitach. W ciągu pięciu dni przeznaczonych na górską eksplorację w różnych układach osobowych, członkowie wyprawy weszli na następujące szczyty, przełęcze oraz widokowe punkty

topograficzne, w których zlokalizowane są schroniska: Monte Civetta (3220 m n.p.m.), Lagazoui (2835 m n.p.m.), Sas de Stria (2477 m n.p.m.), Monte Crot (2169 m n.p.m.), Monte Crot Anticima Sud (2159 m n.p.m.),



Kasia na ferracie



Robert na ferracie



W drodze na Lagazoui

FOT. SEBASTIAN KULIŃSKI - PTT BIELSKO-BIAŁA

Forcella Ambriccola (2277 m n.p.m.), Rifugio Citta di Fiume (1917 m n.p.m.) i Rifugio Col de Varda (2.110 m n.p.m.).

Wyjazd zorganizowaliśmy według własnego pomysłu, mając na uwadze zainteresowania poszczególnych członków ekipy. Założyliśmy określoną aktywność górską z jasno zarysowanymi celami, ale równie ważny był aspekt poznawczy, czyli kontekst kulturowy, historyczny i kulinarny tej części Włoch. W Dolomity pojechaliśmy wyładowanym do granic możliwości samochodem, a naszą bazą był Camping Cadore u stóp potężnego masywu Monte Pelmo. Camping, co zgodnie stwierdziliśmy, przypominał swoim klimatem kompilację wspinaczkowych miejsc w Parku Yosemite w USA oraz peerelowskich pól namiotowych, gdyż składał się w większości z ciekawego połączenia kamperów z indywidualnymi domkami obitymi boazerią oraz udekorowanymi tym, co dany gospodarz uważał za piękne. To absolutnie nie zarzut, wręcz przeciwnie. Przez cały pobyt czuliśmy się ciepłą energią ceniących uroki natury gospodarzy oraz wręcz wędrowno-artystyczny klimat tego miejsca, domkniętego ścianami Dolomitów.

No właśnie, Dolomity. Przez wielu uważane są za najpiękniejsze góry na świecie i trudno się z tym nie zgodzić, bowiem gdy ktoś je raz zobaczył, zaryzykuje to twierdzenie, nawet jeśli nie był wszędzie. Wpis na listę UNESCO niewątpliwie potwierdza ich wyjątkowość. Powstałe w orogenezie alpejskiej, stanowią fragment Południowych Alp Wapiennych, a zbudowane są z wapieni i dolomitów, czyli skał podatnych na bajkowe kształtowanie, czyli erozję. I właśnie potężne masywy uformowane

ze specyficznej skały, poddane czynnikom niszczącym (deszcz, wiatr, śnieg) utworzyły nieporównywalny z żadnym innym krajobraz górski. Dolomity zachwyciły nas ze szczytów Monte Civetty oraz bliźniaczych Monte Crot i Monte Crot Anticima Sud, a także wysokiej przełęczy Forcella Ambriccola. Dolomity nie tworzą wyraźnych grzbietów górskich, lecz wyodrębnione, niezwykle mocno urzeźbione, osobne gniazda skalne. Podziwialiśmy ogrom skomplikowanych masywów, poszarpanych grani, nieoczywistych kształtów, strzelistych szczytów oraz głębokich dolin. Koniecznie trzeba wspomnieć o kolorach, bowiem Dolomity oferują pełną paletę barw: skały płynnie przechodzą od zimnych szarości, poprzez zieleń i odcienie wszelakiej żółci, po rozpaloną czerwień oraz migoczące słońcem złoto. Dodajmy do tego tańczące na błękitnym niebie białe, szare oraz czarne chmury a ukaże nam się w pełni ten dolomicki spektakl.

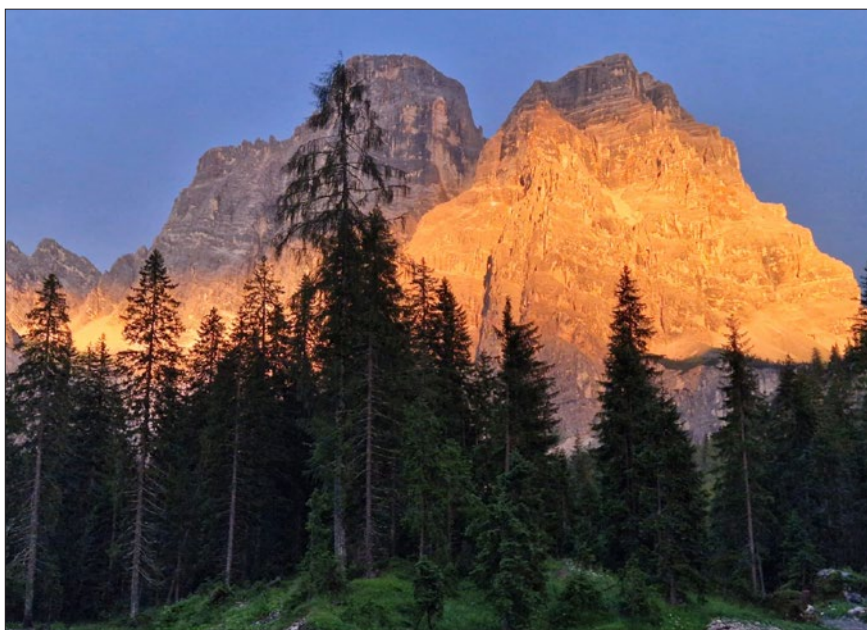
Dolomity niewątpliwie kojarzone są z „via ferratami”, czyli stalowymi udogodnieniami w postaci lin, kotwi, stopni, drabinek oraz różnego typu stanowisk asekuracyjnych, które pozwalają pokonywać wymagający teren skalny. „Via ferraty” powstały podczas pierwszej wojny światowej, a zbudowali je żołnierze Królestwa Włoch oraz Cesarstwa Austro-Węgierskiego, aby transportować wojsko i sprzęt podczas walk o Dolomity. W ciągu kilku lat, na tym odcinku frontu wybudowano szereg wysokogórskich okopów, tunele, stanowisk artyleryjskich, magazynów i pomieszczeń dla wojska. Podczas naszej wycieczki poznaliśmy tego typu obiekty wojskowe zlokalizowane na szczytach La-

gazoui i Sas di Stria oraz leżącej pomiędzy nimi Przełęczy Falzarego (Falzarego Pass), gdzie znajduje się dawny austriacki schron bojowy, a obecnie Muzeum I Wojny Światowej. Ciekawostką jest to, że na szczyt Lagazoui wychodziliśmy niemal kilometrowym tunelem wydrążonym w środku góry, będącym pozostałością po dawnych korytarzach minerskich obu walczących armii. Warto podkreślić, że dla osób chcących poznać historię regionu, w miejscach, gdzie zatrzymują się turyści można nabyć książki, repliki przedmiotów, nabijki na turystyczne laski, odznaki i medale, wyroby rękodzieła oraz wpisujące się w górskie otoczenie pamiątki. Nie znajdziemy tu kolorowych mieczy, plastikowych wiatraczków, balonów z napisami „Miłość w Dolomitach” ani pluszowych gęsi. Ale to tylko tak, małym druczkiem i na marginesie.

Odwiedziliśmy pięknie położone schroniska górskie, które były dla nas schronieniem przed deszczem, ale także miejscem, gdzie można rozsiąść się na dłużej i napać urodą Dolomitów. Zachwyliło położenie Rifugio Citta di Fiume z niesamowitym widokiem na ścianę Monte Pelmo, a w dalszej perspektywie na niekończące się góry z charakterystyczną, bo pokrytą lodowcem – Marmoladą, najwyższym szczytem Dolomitów. I kolejne Rifugio Col de Varda, które osadzone jest ponad Jeziorem Misurina z panoramą masywu Monte Popena. Bowiem Dolomity, kojarzone głównie z niebotycznymi ścianami, to także góry, które oferują niezliczoną ilość szlaków trekkingowych, nie wymagających użycia technik i sprzętu wspinaczkowego. Możemy wędrować zielonymi dolinami, usiąść

przy bystrych potokach, beztrósko trawić czas na punktach widokowych. Każdy ze szlaków oznaczony jest czerwonym kolorem i opisany odpowiednią cyfrą, a na ich trasie możemy odpocząć w klimatycznych schroniskach. Na trasie naszej wycieczki znalazły się także urokliwe wioski, a tam niespiesznie spacerowaliśmy i próbowaliśmy lokalnej kuchni. Uczyliśmy się lokalnych zwyczajów, rozmawialiśmy z mieszkańcami, którzy na dźwięk słowa „Polonia” uśmiechali się szeroko oraz kupowaliśmy drobne pamiątki i upominki.

Finał naszej wycieczki ustalony został spontanicznie, a podyktowany zapowiadany burzami w regionie, gdzie znajdował się nasz camping. Zgodnie postanowiliśmy spakować się i pojechać, aby zwiedzić jedno z najpiękniejszych miast świata, czyli Wenecję. Jak postanowiliśmy, tak zrobiliśmy. I tak jak trudno opisać dolomitowe cuda natury, to równie ciężko jest nazwać i opisać Wenecję. To dzieło sztuki ludzkiej determinacji, myśli, pasji, artyzmu oraz wiedzy. Położona na 118 wyspach, które połączone są kanałami i mostami robi niesamowite wrażenie,



FOT. SEBASTYAN KULIAWKA

Monte Pelmo (3172 m) o zachodzie słońca

lecz opis tego miasta to zupełnie inna historia, wymagająca osobnej relacji.

Na koniec chciałbym serdecznie podziękować całej naszej ekipie. Cały nasz wyjazd odbył się w niezwykle miłej i pełnej zrozumienia atmosferze, choć niektórzy z nas

poznali się dopiero na tym wyjeździe. Dziękuję za wszystkie rozmowy nie tylko o górach, muzykę, która zostanie już ze mną na zawsze, tolerancję oraz empatię pomimo ścisłego wyciszenia i humor na każdym kroku. A najbliższa może się jeszcze znaleźć. ■

INFORMACJE ZARZĄDU GŁÓWNEGO

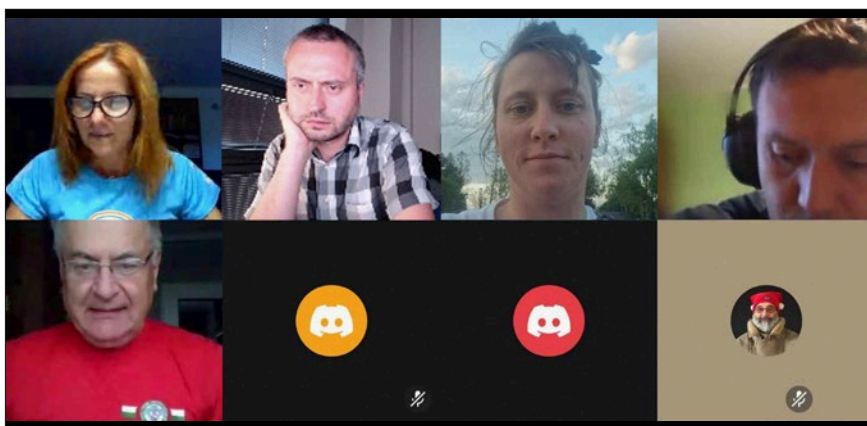
JOLANTA AUGUSTYŃSKA (O/Nowy Sącz)

IV posiedzenie Prezydium ZG PTT XII kadencji

W ostatnim dniu wakacji, 31 sierpnia 2023 roku o godzinie 19:00 rozpoczęło się IV posiedzenie Prezydium Zarządu Głównego PTT XII kadencji. Odbyło się ono zdalnie przy pomocy narzędzia Discord. Tematem wiodącym było omówienie przygotowań do naszych obchodów rocznicowych.

Praca nad „Pamiętnikiem PTT”, który redaguje Józef Haduch jest już na ukończeniu, także dzięki zaangażowaniu innych osób. Wkrótce zostanie oddany on do druku, a cena za egzemplarz „Pamiętnika PTT” będzie wynosiła 30 zł.

Nasze główne obchody rocznicowe zostaną rozpoczęte konferencją organizowaną wspólnie z Muzeum Tatrzańskim. Odbędzie się ona w Gmachu Głównym Muzeum Tatrzańskiego (Zakopane, ul. Krupówki 10) w piątek, 13 października 2023 r. Rozpoczęcie wydarzenia zaplanowano na godzinę 12:00. Tego samego dnia wieczorem, w ośrodku AMW Rewita (Kościelisko k. Zakopanego, ul. Nędzy-Kubińca 150), który będzie miejscem głównych obchodów 150-lecia PTT, zaplanowane jest wspólne ognisko.



OPR. MARTYNA PIĄSZEK-PABIAN PTT BIELSKO-BIAŁA

Uczestnicy IV posiedzenia Prezydium ZG PTT

W sobotę, **14 października**, na godzinę 8:00 zaplanowano śniadanie, po którym każdy Oddział będzie realizował własny program. Uroczystość jubileuszowa rozpocznie się **o godz. 16:00**. Po części oficjalnej zapraszamy na kolację i zabawę taneczną.

Po niedzielnym śniadaniu, 15 października o godzinie 9:00 zapraszamy na Mszę św., która będzie sprawowana w naszej intencji w kościele pw. św. Kazimierza Króle-

wicza (Kościelisko, ul. Nędzy-Kubińca 150).

W październiku, z okazji naszego jubileuszu, zostanie także wydany przez Poczta Polską okolicznościowy znaczek, a kartę pocztową tradycyjnie przygotuje Jerzy P. Krakowski z O/Mielec.

Dodatkowo, podczas posiedzenia został omówiony realizowany przez wszystkie oddziały projekt „Od granic do granic” oraz realizowany przez część z nich projekt „150 szczytów na 150 lat PTT”. ■

MARIA MAGDALENA POCGAJ (O/POZNAŃ)

30-lecie pracy literackiej



FOT. LESZEK LESZCZKA - PTT POZNAŃ

Uczestnicy spotkania jubileuszowego

22 sierpnia 2023 r. w pięknej sali Filia Sztuki, mieszczącej się w głównym gmachu Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu przyszło mi świętować jubileusz 30-lecia pracy literackiej. Spotkanie poprowadził Paweł Kuszczynski, prezes Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, który nadmienił, iż jest to pierwsze spotkanie autorskie po kilkuletniej nieobecności w tej szacownej księżnicy – poznańskich literatów. Kolejne spotkanie odbędzie tu Arkady Radosław Fiedler. Toteż ogromną radość sprawiła mi liczna frekwencja przybyłych osób, mimo wakacyjnej pory, a także piękna oprawa muzyczna, którą zapewniły: Barbara Kucharska (flet) i Lesia Leszczenko (fortepian). Siedzieliśmy z prezesem w miejscu centralnym przy małym, okrągłym stoliku, obok na sztalugach widniały moje fotografie.

Od publikacji pierwszego tomiku, a były to „Obłoki ziemi” (wyd. w Białej Serii Biblioteki Poetyckiej pod red. Nikosa Chadinikolau), minęły trzy dekady i uważam, iż nie był to czas zmarnowany. Opublikowałam 16 książek, m.in.: „Zmierzchy koronkowe”(2004), „A włosy im cesał biblijny wiatr” (2006), na podstawie której Radio Emaus wyemitowało 54 audycje literacko-muzyczne, „Na deszczu

piękniętej strunie” (2008), „Wędzidło z pajęczyny”(2010), „Sukienki na wieczny sen”(2016). Za ostatnio wydany tom „Apokryfy uliczne”(2019), poświęcony bezdomnym naszego miasta, przyznano mi Nagrodę Literacką 43. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Praca nad tym tomem trwała kilka lat, a jest efektem licznych pieszych wędrówek ulicami Poznania, nawiązywania kontaktu wzrokowego, czasem słownego z osobami bezdomnymi. Dlatego ich poetyckie portrety są wiarygodne, prawdziwe.

Trzy lata pracy poświęciłam też zbiorowi wierszy o kobietach z Biblii, wspierając się wnikliwą lekturą Starego i Nowego Testamentu. Z kolei książka prozatorska, mająca charakter dziennika, pt. „Mój lapoński sen” (2019), zainspirowana została trzykrotnym pobytem w szwedzkiej Laponii. Obecnie przygotowuję do druku drugą część książki, na kanwie kolejnych trzech pobytów za kołem polarnym. Oprócz wierszy, piszę felietony, recenzje, komentarze literackie a także ekfrazy do obrazów i fotografii. Współpracuję z kwartalnikiem literackim ReWiry jako sekretarz redakcji. Przynależność do stowarzyszeń, takich jak Związek Literatów Polskich, Polskie Towarzystwo

Tatrzańskie, Stowarzyszenie Marynistów Polskich czy Poznańskie Stowarzyszenie Pracy Twórczej mobilizuje mnie i zachęca do podejmowania różnych działań, łącznie z udziałem w wystawach, w moim przypadku fotograficznych, gdyż fotografia zawsze była mi bliska. Niezależnie od tego prowadzę w Ogrodzie Botanicznym UAM cykliczne „Ławeczki Literackie”. Do tej pory odbyło się 65 takich spotkań, każde o innej tematyce.

Wydawać by się mogło, że bycie poetą to sama przyjemność, tymczasem szlifowanie warsztatu słowa można nieraz przyrównać do obróbki kamienia. Ale podnoszenie poprzeczki daje efekty, a jeśli przy tym nie ulega się krótkotrwałym modom czy trendom oraz dba o piękno i klarowność polskiego języka, to czytelników przybywa. Ogromną satysfakcją dla autora jest ich obecność na spotkaniu autorskim. Doświadczylam tego w miniony wtorek, wywożąc do domu taksówką niemal cały ogród kwiatowych bukietów...

Maria Magdalena Pociągaj, poznanianka, bamberka po mieczu, z wykształcenia plastyk, z upodobania miłośniczka morza i gór. Członek Oddziału Poznańskiego PTT. Uprawia pisanie, fotografię, rysunek. ■

Lipcowe aktywności

Pomimo wakacyjnego okresu urlopowego nasz Oddział działa nieprzerwanie. Zaplanowane wycieczki są realizowane, a także wiele jest spontanicznych, na które nie brakuje chętnych. 2 lipca odbyła się krótka wycieczka wokół zalewu w Wąchocku, połączona ze zwiedzaniem Opactwa Cystersów oraz ogniskiem.

W dniach 6-7 lipca wybraliśmy się na Roztocze. Odwiedziliśmy Zwierzyniec z browarem i zabytkowym kościołkiem na wyspie oraz przeszliśmy czerwonym szlakiem turystycznym do Florianki, gdzie znajduje się Ośrodek Hodowli Zachowawczej Konika Polskiego, będącego symbolem Roztoczańskiego Parku Narodowego. Byliśmy też nad stawami „Echo”, miejscem wypoczynku i rekreacji, chętnie odwiedzanym przez turystów.

Drugiego dnia wybraliśmy się szlakiem turystycznym z Suśca przez wodospad „Jeleń” do rezerwatu „Szumy nad Tanwią”. Po krótkim odpoczynku powróciliśmy do Suśca, skąd pojechaliśmy do miasta będącego perłą renesansu, czyli do Zamościa. Zwiedzanie rozpoczęliśmy od Akademii Zamojskiej, pałacu Zamoyskich, katedry oraz Rynku Wielkiego, Solnego i synagogi, która świadczy o obecności Żydów w Zamościu. Na koniec przeszliśmy „Drogą męczenników rotundy” do Rotun-



FOT. TERESA KARBOWNICZEK - PTT OSTROWIEC ŚW.

W rezerwacie „Szumy nad Tanwią”

dy, miejsca martyrologii ludności Zamojszczyzny w czasie II wojny Światowej.

W sierpniu planowana jest wycieczka w Beskid Żywiecki.

Wakacyjne zebrania Oddziału odbywają się w luźniejszej atmosferze w Miejskim Ośrodku Rekreacji na Gutwinie w pięknej scenerii lasu i stawów rekreacyjnych. ■



FOT. TERESA KARBOWNICZEK - PTT OSTROWIEC ŚW.

Koniki Polskie



AGATA TKACZYK (K/WROCŁAW – „DOLNY ŚLĄSK”)

Początek, czyli od trójstyku granic do Świeradowa-Zdroju

Z okazji 150-lecia PTT nasze Koło PTT „Dolny Śląsk” dostało pierwszą trasę do przejścia, od trójstyku granic Polski, Czech i Niemiec do Świeradowa-Zdroju. Trasa liczyła 45 km i przebiegała fragmentami przez Czechy, w większości wytyczona w makroregionie – Kotlinie Turoszowskiej.

Po dokładnej analizie wyznaczonej trasy okazało się, że nie jesteśmy w stanie pokonać jej pieszo, rowerem też trudno. Na przeszkodzie stały kraterzyki i olbrzymie obszary wyrobisk i zwałowisk kopalni Turów z zamkniętymi drogami dojazdowymi. Postanowiliśmy tę trasę przejechać samochodem 17 czerwca 2023 r., zwiedzić wyznaczone miejsca i je opisać. A miejsca są wyjątkowe.

Zaczynamy od Trójstyku, jednego z sześciu w Polsce. Ten znajduje się między miejscowościami Porajów k/Bogatyni (Polska), Gródek nad Nysą – Hradek nad Nysą (Czechy) i Żytawa – Zittau (Niemcy). To także historyczny punkt centralnych obchodów wejścia Polski i Czech do Unii Europejskiej w 2004 roku.

Następnie Bogatynia. To miasto o bogatej historii to jedna z najbogatszych gmin w Polsce, na której terenie znajdują się Kopalnia Węgla Brunatnego Turów oraz Elektrownia Turów zatrudniające łącznie około 5,5 tysiąca osób. Wizytówką miasta jest zabudowa przysłupowo-zrębowa, zwana również zabudową łuzicką. Łączy w sobie zalety słowiańskiej konstrukcji zrębowej i przybytej z głębi Niemiec techniki szachulcowej.

Kopalnia Węgla Brunatnego Turów to jeden z największych i najważniejszych zakładów przemysłowych w tej części Dolnego Śląska. Zasadniczym przedmiotem jej działalności jest wydobywanie i przetwarzanie węgla brunatnego oraz surowców towarzyszących. Zakład, którego historia sięga ponad 100 lat, rocznie wydobywa to ok. 8 mln ton węgla, a powierzchnia odkrywki wynosi 2487 ha.

Z kolei Elektrownia Turów jest jedną z największych elektrowni ciepłych w Polsce. Paliwem podstawowym jest tu węgiel brunatny, dostarczany przemożnikami taśmowymi z pobliskiej kopalni.

Kolejnym z warty odwiedzenia miejsc jest Sieniawka ze swoimi mrocznymi tajemnicami. Na wzgórzu w tej miejscowości, zwanej do 1945 r. Kleinschöna, istnieje zespół budynków, który powstał przed wy-



Trójstyk

ARCHIWUM PTT WROCŁAW

buchem II wojny światowej, jako koszary wojskowe. W trakcie wojny budynki zostały zaadaptowane na fabrykę zbrojeniową Junkers AG przemysłu lotniczego, której głównym celem było wytwarzanie silników turbodrzutowych Jumo 004. Pracowali tam także więźniowie z filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Było to również miejsce tymczasowego stacjonowania dla obozu w Auschwitz. Wiele mrocznych tajemnic nie zostało do dzisiaj wyjaśnionych. Obecnie w budynku koszar znajduje się Zakład dla nerwowo i psychicznie chorych.

Obejrzeliśmy także most kolejowy Zittau-Porajów, zwany „Wiaduktem Doliny Nysy”, który przez rzekę graniczną łączy Niemcy z Polską. Ta kamienna budowla, powstała w latach 1853-1859, składa się z 39 łuków o łącznej długości 741 m i 18 m wysokości. Jest to jeden z największych i najstarszych mostów kolejowych w Niemczech. Linia kolejowa przebiega tu tranzytem przez terytorium Polski na odcinku około 3 km, a następnie przekracza granicę polsko-czeską.

„Skałki” w Markoticach, malowniczej części Bogatyni, to z kolei niefunkcjonujący już kamieniołom, który powstał na potrzeby budowy kombinatu energetycznego na początku lat 60 XX wieku. Wyrobisko odłoniło bazaltowe wnętrze wzgórza, a niemal pionowa grań stanowi obecnie znakomite urozmaicenie krajobrazu.

Odwiedziliśmy także Białopole – częśćiwo zatopioną przez kopalnię wieś, do której wsi należą tylko dwie ulice: Graniczna i Leśna, zamieszkałe przez 14 rodzin oraz Kopaczów i leżący po drugiej stronie granicy Oldřichov na Hranicích, które stanowiły kiedyś jedną wieś. W 1849 roku, gdy wyty-

czono granicę pomiędzy Saksonią a Cesarstwem Austrii, podzielono tę miejscowość, a nowo powstała w 1918 r. Czechosłowacja uznała tę granicę. Droga przez wieś stała się wówczas strefą neutralną, ale stojące po jej obu stronach domy były częścią dwóch różnych państw. Droga ta sprawiała nieco kłopotów po zwiększeniu się ruchu kołowego, bowiem w Saksonii obowiązywał ruch prawostronny, a w Czechosłowacji ... lewostronny. Umówiono się, zatem, że na neutralnej drodze kierowcy będą stosowali się do przepisów obowiązujących w Saksonii. Po II wojnie światowej droga już w całości przypadła Czechosłowacji, a na końcach wsi stanęły wieże strażnicze do obserwacji terenu. Jeden z polskich domów miał jednak szczególnie ciekawe położenie, bowiem gdy po 1945 roku granica szła w linii jego murów, część okien i tylne drzwi wychodziły na stronę czechosłowacką, przy czym sam budynek znajdował się na terenie Polski. Mieszkańcy Kopaczowa śmiali się, że można wejść do budynku w Polsce, a wyjść z niego już w Czechosłowacji.

Opolno-Zdrój to zastygły kurort położony na krawędzi kopalni Turów, którego historia sięga XIV wieku. Górnictwo węgla brunatnego rozpoczęło się tutaj w roku 1802, a w okolicy rozwijał się również przemysł włókienniczy, uprawiano len oraz tytoń. W roku 1836 odkryto lecznicze właściwości opoleńskich wód (głównie żelazisto-siarkowo-witriolowych) i od tej pory miejscowość zaczęła nabierać uzdrowiskowego charakteru. Dzięki nim oraz występującym tu także borowinom miejscowość stała się ośrodkiem walki z reumatyzmem, artretyzmem i anemią a leczono tu również

nerwobóle, paraliże, schorzenia kurczowe i skórne oraz dolegliwości kobiece. U szczytu swej popularności na początku XX wieku nazywane było saskimi Cieplicami.

Gdy zintensyfikowano wydobycie węgla brunatnego metodą odkrywkową a Rada Ministrów podjęła w 1959 r. uchwałę w sprawie budowy kombinatu górniczo-energetycznego, zaszyły nieodwracalne zmiany m.in. hydrogeologiczne w regionie, w tym zanik wód zdrojowych. W byłych domach uzdrowiskowych zamieszkali górnicy a spalanie węgla pochodzącego z Zagłębia Turoszowskiego, spowodowało zanieczyszczenie powietrza w okolicy. Eksploatacja ogromnych złóż doprowadziła również do całkowitego przeobrażenia regionu w monstrualnych rozmiarów krater o wymiarach 10x6 km, otoczony potężnymi hałdami i gigantycznymi maszynami górniczymi. Wieś stopniowo od strony północnej pochłaniana jest przez odkrywkę Kopalni Turów. Zachowały się jednak nieliczne przykłady architektury łżyckiej, kościół z końca XIX w. oraz park zdrojowy.

Miejsce to wywarło na nas olbrzymie wrażenie.

Następnie odwiedziłyśmy Heřmanice z modrzewiową wieżą widokową, na którą prowadzą dwie niezależne klatki schodowe odznaczone odpowiednio jako „wejście” i „zejście”. Wieża ta, leżąca przy szlaku rowerowym Bogatynia – Detrichov została oddana do użytku we wrześniu 2012 roku, a z tarasu widokowego na jej szczycie można podziwiać Góry Izerskie, Góry Łżyckie, Nizinę Żytawską oraz kopalnię węgla brunatnego w Turowie.

Zamek i pałac Frýdlant to z kolei jeden z najważniejszych zabytków Czech, wznoszący się na bazaltowej skale nad rzeką Smědá. Kompleks składający się ze średniowiecznego i renesansowego zamku został otwarty dla turystów już w 1801 roku, co czyni go pierwszym muzeum zamkowym w Europie Środkowej. Oprócz zwykłych kolekcji mebli i wyposażenia pałacowego, ekspozycja obejmuje również bogatą kolekcję broni, fajki, unikatowe biuro władz, pokój dziecięcy, zamkową łazienkę oraz dobrze zachowaną kuchnię. O określonych godzinach po zamku oprowadzają także polscy przewodnicy – warto skorzystać.

Zahaczyliśmy o Nové Město pod Smrkem, miasteczko na krańcu Czech, założone przez górników wydobywających rudę cyny – kazytery. Również i tu można odszukać kilkanaście zabytkowych domów przysłupowych. Wiele innych wciąż może się pochwalić ponad stuletnimi ceramicznymi sztyldami z numerami posesji, które zostały



Przy wieży widokowej w Heřmanicach

wykonane w miejscowej fabryce. Można także skorzystać z secesyjnych łaźni miejskich, w których obecnie mieści się mały basen oraz jacuzzi.

Do Polski wróciliśmy przez dawne przejście graniczne Czerniawa-Zdrój – Nové Město pod Smrkem, które zostało otwarte w 1997 r., by po 10 latach, wraz z wejściem Polski i Czech do strefy Schengen, zakończyć swoją działalność.

Już w Polsce odwiedziliśmy Czerniawę-Zdrój, jedno z najstarszych uzdrowisk na Dolnym Śląsku, które do 1946 r. nazywało się z niemiecka *Bad Schwarzbach*. Miejscowość ta powstała w XVII w. przy hucie szkła w dobrach Schaffgotschów, a od 1651 zaczęli osiedlać się w niej czescy protestanci uchodzący przed religijnymi prześladowaniami. W 1782 r. odkryte zostały pierwsze źródła wód mineralnych (głównie nisko zmineralizowane szczawy wodorowęglanowo-wapniowo-magnezowe z zawartością żelaza, fluoru oraz radonu powstałe

w wyniku zachodzenia zjawisk krasowych), które eksploatowano od pierwszych lat XIX w. Wybudowano wówczas łaźienki, a wieś zaczęła się rozrastać. To uzdrowisko jest obecnie dzielnicą Świeradowa-Zdroju, który z kolei posiada najdłuższą, 80-metrową halę spacerową na Dolnym Śląsku. Leczy się tam choroby reumatyczne, układu krążenia i nerwowego. Dawny budynek kuracyjny – Dom Źródlany z XVIII wieku spalił się i na jego położeniu, pod koniec 19. stulecia zbudowano Dom Zdrojowy, który możemy podziwiać do dziś.

Co jeszcze warto zobaczyć w Świeradowie-Zdroju? Z pewnością nową wieżę widokową Sky Walk, Muzeum Zdrojowe Górnictwa Uzdrowiskowego, wieżę zegarową i pijalnię wody oraz deptak i fontannę z żabami, która jest atrakcją dla dzieci.

Docierając do Świeradowa-Zdroju zakończyliśmy przydzielony Kołu PTT „Dolny Śląsk” z Wrocławia odcinek jubileuszowego projektu „Od granic do granic”. ■

IWONA NAKONECZNA-ŚWIĄTEK (O/MIELEC)

Z Chyrowej do Chaty w Przybyszowie

Mielecki Klub Górski „Carpatia” jako Oddział PTT otrzymał, w ramach projektu „Od granic do granic” z okazji 150-lecia PTT, propozycję przejścia dwóch etapów w Beskidzie Niskim. Pierwszy odcinek to przejście z Chyrowej do Rymanowa-Zdroju, drugi to trasa z Rymanowa-Zdroju do Chaty w Przybyszowie.

Obydwa etapy pokrywają się z mierzącym nieco ponad 50 km odcinkiem Głównego Szlaku Beskidzkiego, który był celem na tegoroczne lipcowe wakacje dwóch klubowych koleżanek, Moniki Kusek i Iwony Nakoneczna-Świątek. Przejście tej trasy miało zatem podwójne znaczenie.

W dniu 25 lipca 2023 r. o 5 rano rozpoczęliśmy swoją wędrówkę w Kątach, pod bazą noclegową Chono Tu. Przy wschodzie słońca, wchodząc najpierw na tysią Górze, Wierchowinę i Polanę przeszliśmy, po raz pierwszy mocząc tego dnia buty, do Chyrowej – wsi leżącej w Beskidzie Niskim. Po krótkim odpoczynku u podnóża ośrodka narciarskiego ruszyliśmy przez trawy i lasy Garbu do Nowej Wsi położonej wzdłuż rzeki Jasiołki. Temperatura robiła się coraz wyższa, powietrze cięższe i po słabo oznaczonym odcinku GSB, pomiędzy olbrzymimi kałużami z nocnych opadów, przez Szczob wdrapaliśmy się na szczyt Cergowej (716 m n.p.m.). Szczyt ten jest zalesiony i aby podziwiać widoki należy się wdrapać na wieżę widokową. Niestety, długo tu nie zagościliśmy i co sił w nogach, po stromych zboczach, zbiegaliśmy do drogi w kierunku Lubatowa. Deszcz złapał nas zaraz za szczytem i do końca dnia nie opuszczał. Kilometr za kilometrem, asfaltem, raz w mniejszych, raz w większych strugach deszczu dotarliśmy do Iwonicza Zdroju, skąd przez Suchą Górę (tylko z nazwy) i odstrasającą Mogiłę, przeszliśmy na ciepły, a przede wszystkim suchy nocleg w Rymanowie Zdroju. Tam oprócz klubowej koleżanki, Basi Mizi, która pokonywała z nami resztę przeznaczonego dla naszego oddziału PTT odcinka, a później dalszy etap odcinka GSB, czekał również klubowy kolega Damian Działo – rehabilitant, który swoimi mocami, super taśmami i magicznymi rękawami dodał nam sił i mogliśmy z prawie nowymi nogami iść dalej.

Następnego dnia, razem ze wschodem słońca, wyruszyliśmy na drugi odcinek wyznaczony w ramach projektu „Od granic do granic”. Buty przez noc nie wysuszyły się do końca, ale i tak byłoby to na nic,



FOT. BARBARA MIZIA - PTT MIELEC

Przy bazie namiotowej w Wisłoczku

gdyż jak tylko skończył się asfalt od nowa były mokre. Powietrze było wilgotne, a w prognozie znów miała padać... Tuż przed 7 dotarliśmy do bazy namiotowej w Wisłoczku, gdzie po cichu zjadliśmy drugie śniadanie i przybiłyśmy pieczęć, bowiem większość bazowiczów jeszcze spała. Ruszyliśmy dalej, niestety kolejnym odcinkiem asfaltu do Puław i kolejnej stacji narciarskiej w Beskidzie Niskim. Z Górnych Puław drogą przy wyciągu, początkowo przez łąki, wyszliśmy na zarośnięty lasem Zrubą i Bukowice. Kolejnym wzniesieniem była Tokarnia i nasza walka z czasem, by jak najszybciej pokonać górę i jak najmniej zmoknąć. Niestety, jak co dzień, prognozy się sprawdziły, a po drugim śniadaniu deszcz (a nawet nawałnica) złapał nas pod przekaźnikiem na szczycie Tokar-

ni i nie opuszczał do samego końca dnia. Koniec naszego odcinka był pod chatą w Przybyszowie, ale olbrzymi deszcz, spadek temperatury i świadomość, że musimy dziś zdążyć dojść do Komańczy, nie pozwoliły na kawę w chacie. Ubolewamy, ale miejsce jest nam znane, więc przy okazji nadrobimy tam czas.

Odcinek, który mieliśmy nam pokonać w ramach projektu z okazji 150-lecia PTT, nie był ani trudny, ani spektakularny. Dużo asfaltu i mało widoków, dla nas w większości w strugach deszczu, w całości w mokrych butach, ale z satysfakcją i zadowoleniem, że włączyliśmy się w ogólnopolski projekt. Zachęcamy pozostałe oddziały PTT do realizacji i z niecierpliwością czekamy na podsumowanie tej ciekawej inicjatywy. ■

Z Rabki-Zdroju na Halę Krupową

Kolejny odcinek imprezy „Od granic do granic” Oddział PTT w Sosnowcu realizował w dniach 4-6 sierpnia 2023 r. Uczestnicy imprezy: Tomek Grabolus, Marcin Kowalczyk i Wojtek Iwański dotarli do Rabki Zdroju autobusem. Wsparcie techniczne w osobach Krzysztofa Czesaka i Zbigniewa Jaskierni dotarło do Rabki Zdroju samochodem.

Obie grupy wspólnie doszły do miejsca na czerwonym szlaku GSB, gdzie w dniu 16 lipca 2023 r. poprzednia grupa zakończyła odcinek. Jeszcze na terenie Rabki-Zdrój odwiedzili Muzeum im. Władysława Orkana, które zostało powołane do życia w dniu 9 sierpnia 1936 r. Jednym z głównych założeń powołania muzeum była ochrona zbudowanego w 1606 r. kościoła pw. św. Marii Magdaleny. Uczestnicy przejścia czerwonym szlakiem trawersowali Zbójecką Górę i następnie przekroczyli trasę Kraków – Zakopane. Następnie zboczami Birtalowej doszli do miejscowości Skawa i dalej do rynku w Jordanowie. Tutaj zatrzymali się na obiad i odpoczynek.

W międzyczasie Krzysiek i Zbyszek z grupy technicznej realizowali wycieczkę samochodową. Najpierw udali się do Wysokiej, gdzie w roku 1816 urodził się ks. Józef Stolarczyk zasłużony szczególnie dla Zakopanego, gdzie został pierwszym proboszczem. Zabudowania Stolarczyków nie zachowały się do obecnych czasów, ale zachował się dwór obronny z XVI w. We wnętrzu znajduje się pochodzące z XVII w. sklepienie kolebkowe z lunetą. W otoczeniu dworu znajdują się drewniane szalasy. Obiekt w chwili obecnej znajduje się w etapie remontu. Kolejnym miejsce, które w Wysokiej należało odwiedzić był cmentarz wojenny z czasów II wojny światowej. To tutaj we wrześniu 1939 r. toczono zacięte walki. W Wysokiej warto odwiedzić również zbudowany w 2007 r. kościół parafii Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny.

Po zwiedzeniu kościoła udaliśmy się do Jordanowa. Pierwsze kroki skierowaliśmy na Hajdówkę, gdzie znajduje się otwarta w dniu 31 stycznia 2023 r. wieża widokowa. Hajdówka znajduje się na wysokości 534 m n.p.m. I rozciąga się stąd wspaniały widok we wszystkich kierunkach. Podziwialiśmy Gorce z Turbaczem, Tatry, Beskid Żywiecki i Pasma Polic, do którego mieliśmy się udać następnego dnia. Jordanów zasługuje na poświęceniu



Wymarsz grupy szturmowej z Jordanowa

mu większej ilości czasu i odwiedzenie wielu miejsc. Na Rynku znajduje się budynek poczty, która znajduje się w budynku dawnego Sadu Grodzkiego. Budynek powstał w 1893 r. według projektu Jana Sas-Zubrzyckiego. Ten sam architekt przysłużył się do powstania kościoła parafialnego pw. Trójcy Przenajświętszej oraz Ratusza Miejskiego. Przy ulicy Kolejowej znajduje się zajazd „Poczekaj” związany z kupcami podróżującymi na szlaku solnym z Wieliczki na Węgry, oraz w dzielnicy Chrobacze dwór drewniany z XVIII w. Na Rynku znajduje się pochodząca z XVIII w. figura św. Jana Nepomucena.

Zakwaterowanie obu ekip miało miejsce w hotelu stacji paliw „Moya” w Jordanowie. Natrafiliśmy tutaj na bardzo dobre warunki zakwaterowania. W godzinach wieczornych dotarli kolejni uczestnicy imprezy, Magda i Zbyszek Czerkascy. Spędziliśmy bardzo miły wieczór przy gitarze. Czas umilali na gitarach Marcin i Zbyszek.

W godzinach nocnych nad Jordanowem przeszła bardzo silna ulewa, połączona z wyładowaniami atmosferycznymi.

Następnego dnia grupa szturmowa wzmocniona o Magdę wyruszyła na trasę czerwonym szlakiem z Jordanowa. Pogoda niestety nie była zbyt dobra. Od rana lał deszcz, ale z czasem zaczął ustępować. Po przekroczeniu Skawy szlak prowadził w rejon Bystrej. W Bystrej na szczególną uwagę zasługuje kościół pw. św. Marcina oraz kaplica św. Jana Nepomucena. Następnie w kierunku Lasu na Polankach, zboczami Cupla uczestnicy przemarszu

dotarli w rejon przełęczy Malinowej. W tym miejscu znajduje się tablica upamiętniająca walki partyzantów w czasie II wojny światowej. W rejonie Naroża grupa zatrzymała się na wypoczynek przy schronie turystycznym, w którym znajdowały się ławeczki oraz miejsce na ognisko. Następnie przez Soskę, Urwanicę szlak prowadził zboczami Okrąglicy. Na szczycie góry znajduje się stacja przekaźnikowa telefonii komórkowej.

W połowie drogi z Polany Kucałowej na Policę, nieznacznie poniżej przełęczy znajduje się schronisko PTTK na Hali Krupowej, który był celem tego dnia. Grupa techniczna w składzie: Krzysztof i Zbyszek z Sidziny Wielkiej Polany czarnym szlakiem dotarła do schroniska na Hali Krupowej. Tego dnia dojechała do Zawoi Mosorne Urszula Palmowska i razem ze Zbyskiem przez Mosorny Groń, Halę Śmietanową i Policę dotarła do schroniska na Hali Krupowej. Do schroniska docierały różne grupy turystów. Szczególnie miłe było spotkanie z grupą turystów z Rybnika, którzy wędrowali GSB w kierunku Wołosatego. Przy gitarze mieliśmy czas na podsumowanie udziału naszego Oddziału w imprezie „Od granic do granic”. Ostatniego dnia pobytu po zrobieniu pamiątkowego zdjęcia ruszyliśmy w drogę powrotną. Grupa techniczna udała się do Sidziny Wielkiej Polany, pozostali uczestnicy udali się przez Policę do Zawoi Mosorne. Przez cały dzień towarzyszyły nam opady deszczu.

Pomimo trudnych warunków atmosferycznych nasza wyprawa zakończyła się pełnym sukcesem. ■

Przez Beskid Niski



FOT. ANDRZEJ JASIŃSKI - PTT GDAŃSK

Na Wahalowskim Wierchu

W dniach 5-13 sierpnia 2023 roku członkowie Koła PTT „Depresja” z Gdańska uczestniczyli w 70. Rajdzie Przyjaźni Bieszczadzkiej, którego organizatorem był Oddział PTT „MKG Carpatia” w Mielcu.

Podczas rajdu postanowiliśmy przejść przydzielonym nam odcinek szlaku

w ramach projektu „Od granic do granic”. W tym celu 6 sierpnia przeszliśmy szlak z miejscowości Prełuki przez Komańczę aż do szczytu Wahalowski Wierch, z zejściem do Komańczę. Następnego dnia pokonaliśmy trasę: Prełuki – Duszatyn – Rezerwat „Zwierzło” (Jeziorka Duszałyńskie)

– Chryszczata, z kolei 9 sierpnia 2023 roku, przeszliśmy odcinek: Chata w Przybyszowie – Góra Kamień – Wahalowski Wierch z zejściem do Jawornika. Tym samym pokonaliśmy cały wyznaczony nam odcinek Głównego Szlaku Beskidzkiego dla uczczenia 150-lecia PTT. ■

Z Kudowy-Zdroju do Nowej Rudy

W dniach 9-12 sierpnia br. członkowie Oddziału PTT w Ostrowcu Świętokrzyskim realizowali zadanie ZG PTT w ramach projektu „Od granic do granic”, stworzonego dla uczczenia 150. rocznicy powstania Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Naszą ekipę stanowiły cztery koleżanki z Oddziału: Lucynka Chrzanowska, Ela Kwaśniewska, Krysia Surmańska i Grażyna Jedlikowska. Wspierał naszą ekipę brat Krysi – Krzysztof Szymański, który nie jest członkiem Oddziału. Wyznaczono nam odcinek od Dusznik-Zdroju poprzez Kudowę-Zdrój, Góry Stołowe, Karłów i Wambierzyce do Nowej Rudy – w sumie 60 km. Naszą bazą była Kudowa Zdrój, gdzie wynajęliśmy noclegi.

Szlak pokonywaliśmy etapami.

Pierwszy odcinek, od Kudowy do Dusznik-Zdroju, rozpoczęliśmy przy niezbyt zachęcającej deszczowej pogodzie. Na szczęście w połowie trasy deszcz przestał padać. Na trasie spotykaliśmy liczne kapliczki z zachowanymi inskrypcjami w języku niemieckim.

W trakcie pokonywania dalszego odcinka z Kudowy Zdroju do Karłowa przez rezerwat przyrody „Błędne Skały” pogoda nam sprzyjała. Niestety, w Błędnych Skałach towarzyszył nam tłum turystów, co uniemożliwiło spokojne poruszanie się wśród niezwykle urody ostańców, jakie można podziwiać w rezerwacie.

Kolejny odcinek z Karłowa do Wambierzyc wiódł przeważnie lasem, w którym można było podziwiać Skalne Grzyby. Urokliwe skały, niekiedy imponowały wysokością, innym razem niezwykłą formą. W końcowej części tego odcinka również natrafiliśmy na spore grupy turystów. Po wyjściu z lasu mieliśmy piękne widoki na Szczeliniec Wielki.

Po dotarciu do Wambierzyc najpierw poszliśmy zwiedzić Sanktuarium Matki Boskiej Wambierzyckiej, które zostało pięknie odrestaurowane. Potem był czas na kilka zdjęć i posiłek w niewielkiej restauracji mieszczącej się w Domu Pielgrzyma.

Ostatni odcinek z Wambierzyc do Nowej Rudy szliśmy już w upale... Trasa wiodła głównie wśród pól, asfaltowymi drogami. Z ulgą powitaliśmy wejście do niewielkiego, jak się później okazało lasu, gdzie choć na chwilę odpoczęliśmy od prążącego słońca. Atrakcją tego dnia była niewątpliwie wieża widokowa na Górze Wszystkich Świętych i znajdujące się w pobliżu Sanktuarium. Całą trasę pokonaliśmy bez najmniejszych



Wieża widokowa na Górze Wszystkich Świętych



Skalne Grzyby

problemów... Po dojściu do Słupca – dzielnicy Nowej Rudy znaleźliśmy niewielką pizzerię, w której zjedliśmy posiłek i z wielkim smakiem wypiliśmy po kufku zimnego piwa. Cały wyjazd uważamy za bardzo uda-

ny, dostarczył nam wielu pozytywnych emocji i wrażeń, które na długo zapamiętamy... Przy okazji dziękujemy Oddziałowi PTT w Sosnowcu za przydzielenie tak pięknego odcinka! ■

EWA SOBCZUK (O/ŁÓDŹ)

Z Lubawki do Jugowa

Oddziałowi Łódzkiemu PTT w ramach projektu „Od granic do granic” z okazji 150-lecia PTT przypadły do pokonania dwa odcinki: trasa Lubawka – Sokołowsko oraz Sokołowsko – Bukowa Chata (Jugów). Wyjazd zaplanowaliśmy na drugą połowę sierpnia. W projekt włączyło się kilkunastu członków naszego Oddziału, ale w rezultacie w wyjeździe wzięło udział dziesięć osób.

Z Łodzi wyjechaliśmy w piątek rano 25 sierpnia br. Jechaliśmy trzema samochodami a spotkanie całej grupy zostało wyznaczone na parking pod zamkiem Książ. Po spotkaniu była chwila, aby pospacerować po parku zamkowym i wspólnie podziwiać potężną sylwetkę zamku z parkowego punktu widokowego. Z Książa już wspólnie udaliśmy się do miejscowości Boguszów-Gorce, gdzie mieliśmy zarezerwowane noclegi. Miejscowość sprawiała wrażenie jest zapomnianej przez wszystkich, ale spotykaliśmy się z sympatią mieszkańców a w domu gościnnym, gdzie byliśmy zakwaterowani atmosfera była przyjazna a obsługa pomocna i sympatyczna. Niepokój budziła tylko prognoza pogody na kolejne dni.

Sobotni poranek okazał się deszczowy i zamglony. Mieliśmy jednak do wykonania ważne zadanie i dlatego zaraz po śniadaniu cała nasza dziesięcioosobowa ekipa (w czerwonych koszulkach organizacyjnych) stawiała się na parkingu. Mając do pokonania dwa odcinki trasy i mając do dyspozycji praktycznie jeden dzień musieliśmy podzielić się na dwie grupy. Grupę piechurów stanowili Ewa Sobczuk, Basia Plewka i Tadeusz Tokarski, z kolei w skład grupy zmotoryzowanej weszli Włodek Janusik, Jagoda Janusik, Romka Grzywińska, Lucynka Mikołajczyk, Andrzej Sobczuk Bogusia Zagrodnik i Stefan Zagrodnik.

Zaplanowaliśmy, że trzyosobowa ekipa pokona pieszo odcinek z Lubawki do Sokołowska, a druga – siedmioosobowa ekipa – wspomagając się samochodami, pokona odcinek z Bukowej Chaty do Sokołowska. Wieczorem obie grupy spotkają się w Sokołowsku zamykając całą przypadającą naszymu Oddziałowi trasę.

Wędrówkę rozpoczęliśmy jednak wspólnie, trzeba było przecież dowieźć piechurów do Lubawki. Strategia była taka: z Boguszowa dojeżdżamy do miejscowości Krzeszów, zostawiamy tam jeden z naszych samochodów i przepakowujemy się do dwóch aut. Następnie dojeżdżamy



FOT. ARCHIWUM PTT ŁÓDŹ

W drodze do Krzeszowa - grupa piesza i zmotoryzowana jeszcze razem

do Lubawki i po zostawieniu samochodów wspólnie wyruszamy na szlak, który prowadzi właśnie przez Krzeszów. W Lubawce, nie bez wysiłku, odnajdujemy oznaczenia szlaku, wędrujemy czerwonym szlakiem tj. Głównym Szlakiem Sudeckim im. Mieczysława Orłowicza. Pogoda zaczyna nam sprzyjać, nie pada i jest przyjemnie ciepło. W Lipowcu nasze ekipy się rozdzielają: piechurzy kontynuują wędrówkę czerwonym szlakiem a druga ekipa zielonym szlakiem wędruje do Krzeszowa. Spotkamy się dopiero wieczorem w Sokołowsku.

Przeście odcinka Lubawka – Sokołowsko zajęło pieszej ekipie około dziewięciu godzin. Często zatrzymywaliśmy się, aby podziwiać rozpościerające się wokół widoki, kontemlować przyrodę, zrobić zdjęcia i wreszcie posilić się zabranym w trasę prowiantem. Musieliśmy także bacznie kontrolować trasę, bo nie wszędzie były widoczne oznaczenia szlaku i często musieliśmy posilkować się mapą. Trasa prowadziła leśnymi ścieżkami a także była wyznaczona wzdłuż lokalnych dróg. W Krzeszowie naszą uwagę zwrócił osiemnastowieczny budynek barokowego kościoła wchodzącego w skład dawnego opactwa cystersów, a po zachodniej stronie Góry św. Anny miniliśmy wzniesioną w siedemnastym wieku barokową kaplicę św. Anny i trzy kapliczki stanowiące pozostałość drogi pielgrzymkowej z Krzeszowa.

Kolejnymi po Krzeszowie miejscowościami na naszej trasie były Grzędy i Grzędy Górne, gdzie szlak prowadził nas wzdłuż asfaltowej szosy. Ostatni odcinek wędrówki wiódł znów leśnymi ścieżkami. Pod koniec wędrówki gdzieś zaginęły nam oznaczenia czerwonego szlaku i już nieznaczoną leśną ścieżką dotarliśmy do miejscowości Kowalowa a z stamtąd (znowu czerwonym szlakiem) do Sokołowska. Zdążyliśmy tuż przed zachodem słońca.

Grupa zmotoryzowana, która w pokonaniu swojej trasy miała wspomagać się także samochodami, dotarła pieszo z Lubawki do Krzeszowa. Była chwila czasu na zwiedzanie dawnego opactwa cystersów, a także na sprowadzenie dwóch samochodów z Lubawki, aby już całą siedmioosobową ekipą dotrzeć do Jugowa i Bukowej Chaty. Odcinek Bukowa – Chata Sokołowsko to około trzydziestu kilometrów i aby przebyć ten dystans ekipa musiała się wspierać przejeżdżając część trasy samochodami, a tylko część idąc pieszo. Trasa nawet z okna samochodów była malownicza, a odnajdywanie dróg jak najbliżej szlaków nie było łatwe.

W Sokołowsku obie grupy – piesza i zmotoryzowana – spotkały się zamykając trasy Lubawka – Sokołowsko oraz Sokołowsko – Bukowa Chata (Jugów). Na koniec pozostało jeszcze tylko zrobić wspólne zdjęcie.

Do domów wróciliśmy w niedzielę. ■

Z Krynicy-Zdroju do Regietowa

W pierwszą sobotę lipca pokonaliśmy pierwszy etap przewidzianej dla naszego oddziału części projektu „Od granic do granic”. Prowadził on z Rytra do Krynicy. Zupełny przypadek sprawił, że następny (i ostatni zarazem) etap mieliśmy przejść w ostatnią sobotę sierpnia. Tym razem górskie ścieżki miały nas poprowadzić z „Perły Wód” do położonego w Beskidzie Niskim Regietowa.

Prognozy meteorologiczne znowu nie były sprzyjające. Kilkanaście dni zwrotnikowych upałów miał właśnie w sobotę zakończyć gwałtowny front atmosferyczny przechodzący przez Polskę z zachodu na wschód. Dla obszaru naszej wędrówki burze przewidywano już od godziny czternastej. W związku z tym decyzja mogła być tylko jedna, jeżeli nie chcemy przekładać terminu, musimy wyruszyć z Tarnowa wczesnym rankiem. W ten sposób tuż po wschodzie słońca opuściliśmy Gród Leliwitów. Mimo to termometry wskazywały już nieco ponad 20 stopni Celsjusza. Na błękitnym niebie coraz mocniej świeciło słońce.

Podobna pogoda przywitała w Krynicy. Rzeźkość poranka nie była odczuwalna, co pod koniec sierpnia nie zdarza się za często. Gdy kilkanaście minut po siódmej robimy wspólne zdjęcie pod pomnikiem Jana Kiepury, uzdrowisko pogrążone jest jeszcze we śnie. Puste chodniki i ulice. Startujemy bez zbytej zwłoki. Po kilku chwilach rozpoczynamy podejście na Huzary. Tutaj spotykamy trójkę trenujących biegaczy górskich i dziewczynę idącą GSB do Wołosatego. To jest jedenasty dzień wędrówki. Życzymy

sobie dobrego dnia i schodzimy w stronę Mochnaczk Niżnej. Króciutka przerwa i podążamy do Banicy. Najpierw wśród łąk i pastwisk, potem lasem. Widoki na Lackową. Przed Banicą kilka razy przekraczamy potok. Stan wody jest tak niski, że praktycznie nie moczymy butów. Ale największy ciek jeszcze przed nami. Tuż przed Izbami musimy jednak pokonać Białą. Robiliśmy to już kilka razy w oddziałowych eskapadach i niektóre przypadki zapadły głęboko w naszej pamięci. Zwłaszcza te wiosenne. Ale teraz mamy pełnię lata i rzeka podzieliła się na kilka niewielkich strumyków. Mimo wszystko ściągamy obuwie i chwilę moczymy stopy w letniej wodzie. Za nami ponad 13 kilometrów marszu. Powoli zbliżamy się do półmetka. Pogoda nadal dopisuje chociaż upał już daje się we znaki.

Na szczęście kolejny odcinek (do Ropek) w większości prowadzi przez las. W Ropkach znowu robimy krótką przerwę. Po niej szybko dochodzimy do Hańczowej. I teraz, jakby na deser czeka nas największe przewyższenie na całej trasie. Musimy wspiąć się na szczyt Koziego Żebra. Na czterech kilometrach mamy pokonać prawie 400 metrów podejścia. A w nogach już dobrze ponad 20 kilometrów. Grupa rozciąga się nieco. Każdy znajduje optymalne dla siebie tempo. Tuż przed szczytem docierają do naszych uszu odległe grzmoty. Nad nami świeci słońce i widać błękit nieba, ale gęsty bukowy las nie pozwala na skuteczną obserwację reszty nieboskłonu.

Bez zbytej ociągania zbiegamy w stronę Regietowa. Dochodzimy do asfaltu. W prawo droga prowadzi do bazy

namiotowej. My jednak skręcamy w lewo i wędrujemy do widocznej w oddali cerkwi św. Michała Archanioła w Regietowie. Od zachodu nadciągają ciemne chmury. Słychać grzmoty. Przy cerkwi czeka na nas bus, a w położonej obok Stadninie koni huculskich trwa XXVIII Złot Motocyklowy „Steel Horses Meeting”. Setki motocykli, samochody, namioty, balony. Chciałoby się zostać chociaż chwilę, ale wydaje się, że burza coraz bliżej. Prognozy niewiele się więc pomyliły.

Dochodzi czternasta trzydzieści. Wsiadamy do busa. Kiedy dojeżdżamy do DW 977 prowadzącej przez Przełęcz Małastowską w stronę Gorlic i Tarnowa zapadają kompletne ciemności. Zaczyna się nawałnica. Litry wody leją się z nieba. Błyskawice, grzmoty i wiatr. Mijane miejscowości chyba pozbawione są prądu, gdyż domy pozostają w kompletnych ciemnościach. Dopiero gdzieś przed Gorlicami robi się trochę jaśniej, chociaż deszcz towarzyszy nam aż do Łużnej. Później przez chmury próbuje przebić się słońce, ale widać skutki burzy. Połamane konary drzew, wielkie kałuże, płynące wzdłuż drogi potoki.

Bezpiecznie i szczęśliwie przed siedemnastą docieramy do Tarnowa. Przypadający naszemu Oddziałowi fragment projektu „Od granic do granic” zostaje w ten sposób zrealizowany. I w obydwu etapach przypieczętowany hucznie przez letnie burze. Chociaż w ostatnim przypadku to chyba nawet przez nawałnicę. Pozostaje mieć nadzieję, że w przyszłym tygodniu w czasie tatrzańskiej oddziałowej dwudniówki pogoda będzie mniej dynamiczna. ■



Na szczycie Huzarów

ZBIGNIEW JASKIERNIA (O/SOSNOWIEC)

90. rocznica tragicznej śmierci Wiesława Stanisławskiego i Witolda Wojnara



FOT. ERINACETO, WIKIPEDIA

Kościółek od strony Doliny Batyżowieckiej



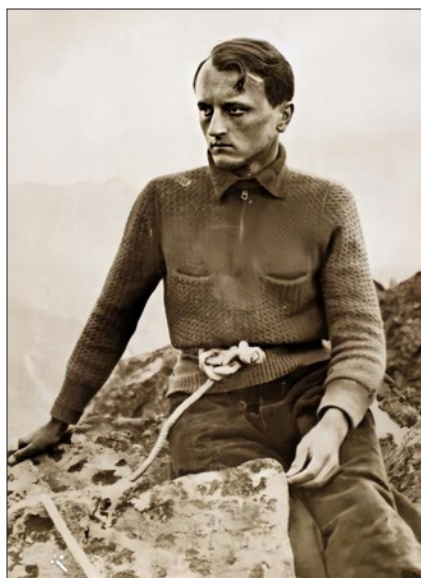
FOT. KRZYSZTOF DUDZIK, WIKIPEDIA

Symboliczny cmentarz ofiar Tatr, tablica ku czci Witolda Wojnara i Wiesława Stanisławskiego

W dniu 4 sierpnia 1933 r. na zachodniej ścianie Kościółka (2261 m n.p.m.) w Dolinie Batyżowieckiej zginęli tragicznie Wiesław Stanisławski i Witold Wojnar. Szczególnie śmierć Stanisławskiego zaskoczyła wszystkich, bowiem należał do najlepszych taterników swojego pokolenia. Wiesław Stanisławski urodził się 15 listopada 1909 r. w Lublinie. Już w wieku szesnastu lat zaczął regularnie przyjeżdżać w Tatry, a czynił to również w okresie zimowych. Bardzo szybko dołączył do elity taterników. W roku 1928 wspólnie z Justynem Wojsznisem poprowadzili nową drogę na zachodniej ścianie Kościelca. Rok później tą drogę próbował pokonać Mie-

czysław Świerż i wyprawa ta zakończyła się dla niego tragicznie. W 1929 r. wraz z Bronkiem Czechem i Lidą Skotnicówną pokonali północną ścianę Żabiego Konia. Partnerami jego byli wybitni taternicy: Mieczysław Szczuka, Bronisław Czech, Zbigniew Korosadowicz, Antoni Kenar, Bolesław Chwaściński, Justyn Wojsznis, Wiktor Ostrowski czy Paweł Vogel. Ale nie stronił od wspinaczek, kiedy jego partnerami byli mniej doświadczeni taternicy. Odnosił wspaniałe sukcesy, ale był również świadkiem śmierci partnera z liny. W 1930 r. zginął jego partner Zbigniew Gieysztor, a miało to miejsce w czasie zejścia z Żabiego Szczytu Wyżniego. Jego technika

wspinaczki naznaczona była brawurą, ale z czasem nabrał większego doświadczenia i przywiązywał dużą wagę do asekuracji. Był prekursorem techniki hakowej, którą zastosował po raz pierwszy w czasie wspinaczki na północno – wschodniej ścianie Mnicha. Jednym z bardziej cennych osiągnięć było zdobycie północnej ściany Małego Kieżmarskiego Szczytu. Do najbardziej cennych osiągnięć zimowych należy zaliczyć I przejście północno – zachodniej ściany Zadniego Gerlacha dokonane w styczniu 1930 r. oraz droga na Wyżnią Lodową Przełęcz z Doliny Śnieżnej dokonane w grudniu 1930 r. Łącznie miał na koncie ponad sto dróg wspinaczkowych w tym



FOT. H.W. MOGIŁNICKI, ARCHIWUM

Wiesław Stanisławski na wierzchołku Jaworowego Rogu, 1932 r.



FOT. ZE ZBIORÓW RODZINY WOJNARÓW

Jedyné znane zdjęcie Witolda Wojnara

wiele pionierskich. Lata 1928 – 1933 nazywane były „erą Stanisławskiego”.

Ukończył studia handlowe. Udzielał się w Sekcji Tatarniczej AZS w Warszawie oraz Klubie Wysokogórskim Oddziału Warszawskiego PTT. Wybranką jego serca była Lida Skotnicówna, która zginęła w 1929 r. na Zamkowej Turni wraz ze swoją siostrą Marzeną. Stanisławski potem nie związał się już z żadną kobietą. Publikował swoje opracowania i wspomnienia w „Taterniku”, „Wierchach”, „Stadionie” i „Przeglądzie Sportowym”.

Witold Wojnar urodził się w dniu 9 stycznia 1910 r. Uczęszczał do gimnazjum w Cieszyńcu a potem w Katowicach. Studiował chemię na Uniwersytecie Warszawskim oraz był słuchaczem na Politechnice Warszawskiej. Był niezwykle wysportowany i interesował się wieloma dyscyplinami sportu (tenis, boks, sporty motorowe i inne). Cieszył się niezwykłą sympatią kolegów. W krótkim czasie dokonał wiele ambitnych dróg w Tatrach. Przebieg tragicznych wydarzeń odtworzony na podstawie świadków tych wydarzeń był następujący. Stanisławski kończył dwutygodniowy pobyt w Tatrach i nazajutrz miał wyjechać z Zakopanego. Do wspólnej wspinaczki zaprosił Wojnar, trzecim partnerem był Ju-

styn Wojsznis, który praktycznie z pociągu udał się w góry. W dniu 4 sierpnia 1933 r. wspólnie pokonali północno-zachodnią ścianę Kaczego Szczytu. Zmęczony podróżą do Zakopanego Wojsznis zrezygnował z podejmowania tego dnia innych tras wspinaczkowych. Stanisławski i Wojnar planowali jeszcze tego samego dnia zdobyć Batyżowiecki Szczyt. Po drodze jakby z marszu planowali zdobyć zachodnią ścianę Kościółka. W tym czasie Wojsznis już był w drodze do schroniska i odpoczywał na Przełęczy pod Drągiem. W pewnym momencie usłyszał hałas lawiny kamiennej, ale nie skojarzył tego faktu z wyprawą kolegów. Na trzeci dzień, kiedy taternicy nie wrócili do schroniska w Roztoce, dzierżawca schroniska inż. Roman Grabowski wszczął poszukiwania, dołączył do niego Bolesław Chwaściński z grupą turystów. Wkrótce pod ścianą Kościółka natrafiono na zwłoki taterników, które zostały przewiezione do Tatrzańskiej Łomnicy. Oględziny zwłok pozwalały odtworzyć w pewnym przybliżeniu przebieg wypadku. Taternicy w pewnym momencie, z uwagi na zwiększające się trudności zmieniali obuwie z turystyczne na lekkie kletterki. W tym czasie lawiną kamienną zostali wyrwani

ze stanowiska i strąceni w dół ściany. Gdy zostali odnalezieni leżeli pod ścianą nadal związani liną. Śmierć Witolda Wojnara była wielkim ciosem dla jego rodziców. Był jedynakiem. Ojciec Witolda był Dyrektorem Naczelnym Związku Koksowni na Górnym Śląsku. Nazajutrz przyjechał po ciało syna.

Wiesław Stanisławski został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, a Witold Wojnar w grobie rodzinnym na cmentarzu w Cieszyńcu. Postacie Stanisławskiego i Wojnara zostały upamiętnione na tablicy ofiar Tatr pod Osterwą. Imieniem Stanisławskiego nazwano wiele formacji skalnych w Tatrach (Komin Stanisławskiego na Wołowym Grzbiecie, Komin Stanisławskiego na Małym Kieżmarskim Szczycie, Żleb Stanisławskiego na Żabim Szczycie Wyżnim, Żleb Stanisławskiego w Ganku), oraz nazwano jeden ze szczytów na południowym Spitsbergenie Górą Stanisławskiego. ■

Literatura:

1. „Wierchy” tom 11
2. „Głos seniora” nr 7/2011
3. „Pamiętnik PTT” tom 22
4. „Pamiętnik PTT” tom 18
5. „Biuletyn Informacyjny” O/PTT Bielsko-Biała nr 3/2010

ZBIGNIEW JASKIERNIA (O/SOSNOWIEC)

Franciszek Kasperek – 120. rocznica śmierci

Urodził się w dniu 29 października 1844 r. w Samborze, gdzie uczęszczał do gimnazjum. Studiował prawo, początkowo na Uniwersytecie Lwowskim, a potem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po ukończeniu studiów w 1866 r. odbywał praktyki w Prokuratorii Skarbu w Krakowie. Następnie pracował w sądownictwie w Krakowie i Tarnowie. W 1869 r. obronił doktorat na Uniwersytecie Jagiellońskim, a dwa lata później habilitował się dziedzinie filozofii prawa i został docentem w Katedrze Filozofii Prawa i Prawa Narodów UJ. Rok później wraz z nominacją na profesora nadzwyczajnego objął kierownictwo katedry Filozofii Prawa i Prawa Narodów UJ. W 1872 r. habilitowała się z Prawa Narodów. Trzy lata później został profesorem zwyczajnym. Na UJ pełnił szereg odpowiedzialnych funkcji. Był dziekanem Wydziału Prawa w latach: 1875-1876, 1882-1883, 1887-1888 i 1897-1898. W latach 1889-1890 pełnił funkcję prorektora UJ, a w latach 1888-1889 rektora UJ. Był zwolennikiem dopuszczenia kobiet do uniwersyteckich studiów praw-

nych. Od 1891 r. został członkiem czynnym Akademii Umiejętności. W 1877 r. znalazł się w gronie członków założycieli Towarzystwa Prawniczego w Krakowie. Zajmował się wieloma zagadnieniami prawa, ale największe zasługi miał w stworzeniu podstaw polskiego prawa międzynarodowego. Miał w dorobku wiele publikacji naukowych.

Franciszek Kasperek udzielał się również na innych polach. Od 1884 r. był radnym miasta Krakowa, a udzielał się także w działalności Polskiego Czerwonego Krzyża. Był działaczem Towarzystwa Tatrzańskiego. W latach 1880-1887 był członkiem Wydziału TT. W latach 1887-1893 pełnił funkcję II Wiceprezesa TT, a w latach 1893-1900 r. funkcję I Wiceprezesa TT. W roku 1893 r. chciał zrezygnować z funkcji I Wiceprezesa TT, ale rezygnacja nie została przyjęta. Dopiero w 1900 r. na funkcji I Wiceprezesa zastąpił go dr Stanisław Ponikło. W 1901 r. otrzymał godność Członka Honorowego TT.

Siostra Franciszka Kasparka wyszła za mąż za Maksymiliana Nowickiego, pioniera

ochrony przyrody i prof. UJ. Jej synem był poeta i taternik Franciszek Henryk Nowicki.

Franciszek Kasperek zmarł w dniu 4 sierpnia 1903 r. w Krakowie i został pochowany na Cmentarzu Rakowickim. ■



Franciszek Kasperek

FOT. ARCHIWUM

JANUSZ PILSZAK (K/KOZY)

W cieniu Gigantów Karakorum

W grudniu 2022 r. narodził się pomysł wyjazdu na wyprawę do Pakistanu, której głównym celem miało być poznanie północnej, odludnej części tego tajemniczego kraju. Mieliśmy się poruszać głównie wzdłuż najwyższej części pasma Himalajów Karakorum. Cała wyprawa miała trwać ok. 23 dni. Zakładałem, że znajdziemy jakąś agencję, która do planowanej trasy dołoży chociaż jeden szczyt powyżej 6 tys. m. Niestety, to się nie udało. Nikt nie chciał podjąć się takiego zadania. Twierdzili, że trekking wzdłuż planowanej trasy był już wystarczająco wymagający. Zamierzaliśmy pokonać pieszo ok. 170 km z Askole do Saicho śpiąc w namiotach oraz jakieś 700 km jeepami albo bussem wzdłuż słynnej *Karakorum Highway*. Obsługę wyprawy miała zapewnić pakistańska agencja *Jasmine Tours*. Grupa docelowo miała liczyć 10 osób i zebrać się w całości w Islamabadzie.

Dla mnie ta wyprawa rozpoczęła się 7 lipca. Do Warszawy przyjechałem ok. godz. 14. Zostawiłem tu bagaż w hostelu i udałem się na spacer po Starówce i Krakowskim Przedmieściu. Na rogu Jasnej i Świętokrzyskiej działa *Mleczarnia Jerozolimska*, czyli bar mleczny. Obsługiwała go ukraińska załoga. Zamówiłem dwa solidnej wielkości „gołąbki”. Były super. Późnym wieczorem położyłem się spać.

O godz. 5.30 opuściłem hostel. Bez problemu dotarłem na lotnisko. Wystartowaliśmy planowo i lot przebiegł bez jakichkolwiek problemów. W Stambule dołączył do nas jeszcze jeden uczestnik. Przyleciał z Wielkiej Brytanii. Lot do Islamabadu nie przebiegał już tak gładko. Po wejściu na pokład samolotu okazało się, że ten ma usterkę, której naprawa trwała ok. 1,5 godz. Po pokładzie biegali mechanicy i wymieniali jakieś podzespoły. Sytuacja taka zawsze budzi niepokój. Mechanicy, działając pod presją, mogą popełnić błąd o katastrofalnych skutkach. Podczas naprawy kilku wyznawców Islamu rozłożyło na pokładzie samolotu coś na wzór dywanika i zaczęło się modlić.

Po 6,5 godz. lotu, o godz. 4 czasu miejscowego (+3 godz. w stosunku do naszego kraju), wylądowaliśmy w Islamabadzie. To miasto zostało stolicą Pakistanu w 1966 r. w miejsce tymczasowej stolicy w Karaczi a następnie Rawalpindi. Zostało zbudowane z myślą o pełnieniu tej roli. Współcze-

śnie liczy ok. 1,2 mln mieszkańców i jest uważane za jedno z najbardziej kosmopolitycznych i zurbanizowanych miast tego kraju. Przed lotniskiem czekał na nas bus i właściciel pakistańskiej agencji. Kierowca najpierw odebrał i załadował bagaże od męskiej części grupy. Tu obowiązywał inny status kobiet, niż w Europie. Jechaliśmy wielopasmową drogą o bardzo dobrej nawierzchni. Przygnębiające wrażenie potęgowały natomiast licznie poruszające się po niej zdezolowane samochody. Zawieźli nas do hotelu, przed którym stał uzbrojony w pistolet maszynowy strażnik i w którym na dodatek były tylko podwójne łóżka. Pakistańczycy rozwiązali ten problem w ten sposób, że do każdego pokoju dołożyli po materacu. Za to był darmowy Internet, dobry ekspres do kawy i klimatyzacja, a w łazience muszla, ręczniki, mydło, jednorazowe szczoteczki do zębów i pasta. W hotelu pracowała wyłącznie męska obsługa. Pomimo wczesnej pory dostaliśmy prawie europejskie śniadanie. Tu poznaliśmy pozostałych członków naszej grupy.

Po krótkiej drzemce, ruszyliśmy w miasto, by choć trochę poczuć jego atmosferę. Wcześniej właściciel agencji wymienił nam trochę waluty. Za 50 dolarów amerykańskich otrzymałem 14 tys. rupii, co stanowiło pokaźną sumę w tym kraju. Dodam tylko, że tych rupii starczyło mi do końca wyprawy. Z agencją rozliczaliśmy się

w euro. Najpierw wybraliśmy się do *Narodowego Meczetu Pakistanu* czyli *Meczetu Króla Fajsała*. Ta ogromna budowla (podobno może pomieścić 10 tys. wiernych w środku a na przylegających dziedzińcach dalsze 65 tys.) była położona u stóp wzgórza Margala i przypominała swym kształtem namiot Beduinów. Wykonano ją z białego marmuru. Słońce paliło niemiłosiernie więc chodzenie boso po posadzce tej budowli było nie lada wyzwaniem (obuwie musieliśmy zdjąć i schować do plecaków). Nagrzane kamienne płytki parzyły stopy. Byliśmy tu jedynymi Europejczykami. Dzieci pokazywały nas palcami a dorośli podchodzili do nas, by zrobić sobie z nami zdjęcie. Z trudem, i to tylko męskiej części grupy, udało się na chwilę wejść do środka meczetu. Główna sala modlitw była wyłożona dywanami, pokryta mozaikami i kaligrafią a we wnękach ułożono egzemplarze Koranu.

Następnie udaliśmy się pod *Pakistan Monument*. Ten narodowy pomnik Pakistanu wybudowany został w 2007 r. na zachodnich Wzgórzach Shakarparian i miał symbolizować jedność kraju. Zaprojektowano go w stylu Mogołów a płatki, które tworzyły jego główną bryłę miały symbolizować każdą z kultur i mniejszości żyjących w Pakistanie. Miejsce to musiało być bardzo popularne, bowiem były tu tłumy Pakistańczyków. Tu także, co chwilę podchodził ktoś do nas



Islamabad - Pakistan Monument

FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY

i prosił o wspólną fotkę. Prawdę mówiąc, czułem się trochę jak Miś na Krupówkach w Zakopanem.

Wielkie wrażenie zrobiło na mnie *Heritage Museum* czyli *Pakistańskie Narodowe Muzeum Etnologii* (Muzeum Dziedzictwa), do którego poszliśmy po południu. Prezentowało historię jak i żywe tradycje zarówno z głównego nurtu jak i z najodleglejszych rejonów tego kraju. Pakistan, a dokładniej Islamska Republika Pakistanu, to duży kraj (ok. 804 tys. km²) położony w południowej części Azji. Zamieszkują go ok. 232 mln mieszkańców, w zdecydowanej większości muzułmanie. To kraj młody (niepodległość od 1947 r.) i stosunkowo słabo rozwinięty gospodarczo. Powstał z podziału kolonii brytyjskiej tzw. Indii Brytyjskich. Do dzisiaj targają nim liczne niepokoje społeczne, niestabilność polityczna czy konflikty z sąsiadami. Jest jak dotąd jedynym państwem muzułmańskim posiadającym broń atomową. Ale historia tych ziem liczyła tysiące lat. Tu pojawiły się armie władcy Persów Dariusza czy Aleksandra Macedońskiego, tu swoje piętno odcisnęła m.in. cywilizacja Mogołów.

Wieczorem szef pakistańskiej agencji zaprosił nas na kolację powitalną do jednej z licznie działających w tym mieście restauracji na wolnym powietrzu. Były duszone warzywa, ryż i makaron z ostrym sosem oraz ryż z kurczakiem i gotowana soczewica. Był także miejscowy chleb *chapati* wypiekany ze zwykłej mąki, odrobiny oliwy, soli i wody. Jak się później okazało takie *menu* miało nam towarzyszyć codziennie aż do wyjazdu z Pakistanu.

Noc była dla nas krótka. O godz. 5 hotelowa obsługa zaserwowała wspaniałą kawę z ekspresu. Na godz. 8 zaplanowano dla nas lot do Skardu. Wcześniej musieliśmy przepakować bagaże tak, by ten rejestrowy nie ważył więcej niż 20kg. W drodze na lotnisko o mało nie doszło do wypadku. Całą drogę padał ulewny deszcz. Kierowca busa bardzo się śpieszył i kilkakrotnie niemal najechał na tył hamujących przed nami pojazdów. Dopiero na lotnisku zjedliśmy śniadanie. Sam lot trwał trochę ponad godzinę. Widok z okna zapierał dech w piersiach. Lecieliśmy nad sięgającymi nieba ośnieżonymi szczytami Karakorum. Po wylądowaniu wysiedliśmy z samolotu wprost na pas startowy. Nie było tu żadnej infrastruktury. Wokół tylko góry o szaro brązowej barwie (lotnisko położone było na wys. 2230m). Autobus zawiózł nas przed niewielki barak, który pełnił rolę terminalu przylotów. Tu przejął nas przedstawiciel agencji. Bagaże załadowaliśmy na dach jeepów i pojechali-



FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY

Co chwilę podchodził ktoś do nas i prosił o wspólną fotkę

śmy do hotelu. Podczas przejazdu okazało się, że operator naszej agencji obsługiwał także, i to od lat, polskie wyprawy, w tym te zimowe, na ośmiotysięczniki.

Zakwaterowano nas w *Concordia Motel*, który był pięknie położony na kilkudziesięciometrowym klifie nad zakolem Indusu. Dostaliśmy ładny pokój zamykany na skobel i klódkę. Całkiem dobrze działał tu darmowy Internet. Obok motelu znajdował się jeden z licznych w tym miasteczku meczetów. To z niego od godz. 3,45 rano były nadawane przez megafony wezwania na modlitwy. Przepakowałem bagaże i zostawiłem w motelowym depozycie brudne rzeczy jak i te na powrót do kraju. Nie było sensu zabierać ich w góry. Przedsta-

wiciel agencji zabrał nasze wize i udał się do władz wojskowych, by wyrobić zezwolenie na poruszanie się po planowanej trasie trekkingu.

Po południu wybraliśmy się do *Kharphocho Fort* czyli fortu królów. Fort wybudowano na wysokiej i trudno dostępnej skale. Rozciągał się z niego wspaniały widok na całe miasteczko oraz jego górzyste otoczenie. Ruiny sprawiały wrażenie bardzo starych ale pochodziły z XVI w. (tak informowała tablica przy wejściu). Następnie udaliśmy się na spacer wzdłuż głównej ulicy Skardu. Miasteczko liczące jakieś 22 tys. mieszkańców, pełne było kurzu, chaotycznego ruchu ulicznego i totalnego bałaganu architektonicznego. Zdawało się nam



FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY

Lotnisko w Skardu - nie było tu żadnej infrastruktury

mówić: *witajcie w prawdziwym Pakistanie*. Niebawem okazało się, że wzdłuż głównej ulicy nie było tak źle. Gdy wszedłem w którąś z przecznic niemal natychmiast znalazłem się w jeszcze innym świecie. Niewielkie, byle jak postawione budyneczki, często z niewypalonych glinianych cegieł, przykryte czym się dało, pełniły rolę warsztatów, mieszkań i straganów równocześnie. Nie było tu bieżącej wody ani kanalizacji. Byliśmy też świadkami meczu piłkarskiego rozgrywanego na miejskim stadionie. Kibiców było wielu a na murawie nie było ani żółcia trawy tylko klepisko. Biegając po nim zawodnicy wzbijali w niebo tumany kurzu. Po powrocie do motelu okazało się, że będziemy zmuszeni pozostać w Skardzie co najmniej jeszcze jeden dzień. Wojskowe biuro pracowało tylko do godz. 15 i w tym dniu nie udało się załatwić wymaganych formalności.

Rankiem, zanim się rozwidniło obudził mnie melodyjny śpiew Muezina wzywający wiernych do modlitwy *Fadžr* przed wschodem słońca. Wyszedłem do ogrodu. Znajdujące się tu rośliny wydylały miłą, słodką woń. Było przyjemnie chłodno. W dole wartko płynął ogromny Indus. Wzdłuż tej rzeki, o długości 3280 km od zarania dziejów rozwijały się różne cywilizacje. Niebawem na trawniku pojawiło się kilka pięknie ubarwionych dudków o wspaniałych czubach na głowie. Wokół panowała cisza. Po chwili zza motelowego budynku wyszedł umundurowany strażnik ze strzelbą. W nocy strzegł naszego bezpieczeństwa.

Po śniadaniu Pakistańczycy zabrali nas na kilkugodzinną wycieczkę jeepami w otaczające miasteczko okolice. Jazda po czymś, co miało być drogą, a było byle jak rozplantowaną kupą kamieni dała nam przedsmak tego co nas niebawem czekało. Zatrzymaliśmy się nad pięknym jeziorem o szmaragdowej wodzie. Wcześniej mineliśmy kompleks stylowych hoteli *Shanghai Resort Skardu*. Miejsce było popularne wśród Pakistańczyków. Po jeziorze można było popływać motorówkami czy kajakami, nad taflą działała tyrolska kolejka. Samo dojście do jeziora pozostawiało wiele do życzenia. Poprowadzono je wąską, stromą i śliską ścieżką. Tu również wiele osób prosiło nas o wspólne zdjęcie. W pobliskiej restauracji, budowli, która przypominała szopę (sklecono ją z glinianych niewypalonych cegieł i kamieni) zamówiliśmy lunch, na który składały się duszone warzywa, frytki i ryż z kurczakiem. Kucharz wodę do gotowania nabierał z przepływającego obok strumyka. W programie tego dnia była jeszcze wycieczka na coś co mia-



Skardu - pełne było kurzu, chaotycznego ruchu ulicznego i totalnego bałaganu architektonicznego

ło przypominać pustynię z wydmami. Ja z niej zrezygnowałem. Wolałem odpocząć w motelowym ogrodzie. Wieczorem dotarła do nas wiadomość o uzyskaniu wszelkich zezwoleń co oznaczało, że jutro ruszamy w dalszą drogę.

I tak się stało. Około godz.10 załadowaliśmy się do trzech jeepów o brezentowych plandekach. Było w nich ciasno, duszno i przez szpary wciskał się brunatny kurz. Początkowo jechaliśmy asfaltową drogą, która niebawem przeszła w kamienistą, wąski trakt. Trzęsło strasznie. Przejeżdżaliśmy przez liczne wioski, których mieszkańcy trudnili się rolnictwem. Były to bardzo biedne rejony. Na wielu strumieniach nie było mostów, a stan techniczny tych,

które były pozostawiały wiele do życzenia. Po sześciu godzinach dotarliśmy do Askole, raczej osady niż miasteczka, położonego na wys. ponad 3080 m. Była to ostatnia osada przed wejściem w dzikie, puste i bardzo wysokie Karakorum. Tu czekała na nas pakistańska część ekipy: przewodnicy, kucharze, koniuszy i tragarze. W ogólnym zamieszaniu trudno było ich policzyć. Oprócz namiotów, prowiantu dla całej ekipy mieliśmy też i żywy inwentarz: kurczaki i czarna koź. Tę noc spędziliśmy już w namiotach.

Rankiem obudziłem się w całkiem niezłej kondycji. Jednak dość szybko dopadły mnie problemy żołądkowe. Obsługa szybko zwinęła nasze obozowisko i tragarze ruszyli w drogę. Zamierzaliśmy dojść do miejsca



Weszliśmy w dzikie, puste i bardzo wysokie Karakorum

biwakowego określanego nazwą Jhola (ok. 3218 m). Było bardzo ciepło. Po dotarciu do granicy *Central Karakorum National Park* wypełniliśmy stosowne dokumenty i ruszyliśmy w dalszą drogę. Wokół rozpościerała się wspaniała panorama gór. Niestety czułem się coraz gorzej. Do biegunki doszły wymioty. Do Jhola doszedłem ledwo żywy. Nasze urządzenia pomiarowe (podczas całej wyprawy braliśmy średnią z trzech różnych) pokazały, że tego dnia pokonaliśmy 18,3km.

Po niezbyt dobrze przespanej nocy ze śniadania zrezygnowałem. Wczoraj także nic nie zjadłem na kolację. Leki i głódówka pomogły i czułem się w miarę dobrze. Jednak tego dnia był potworny upał i droga do następnego obozowiska bardzo mi się dłużyła. Po południu jeden z uczestników zasłabł wskutek udaru słonecznego. Ekipa się podzieliła, część udała się z jednym z przewodników w dalszą drogę, część pozostała z chorym. W tym momencie wyszły na jaw braki organizacyjne Pakistańczyków. Przede wszystkim nie mieli łączności. Do Paiju (3407m) dotarliśmy dwie godziny później (pokonaliśmy tego dnia 20,2km). Dopiero wtedy udało się zorganizować konny transport po chorego, którego stan był już poważny. Ponieważ ekipa z chorym dotarła do obozu bardzo późno postanowiliśmy następny dzień przeznaczyć na odpoczynek. W nocy zgłosił się do mnie młody Polak, uczestnik innej wyprawy, która wracała spod K2, z bólem żołądka. Od któregoś z członków naszej ekipy dowiedział się, że jestem doktorem. Niestety nikt mu nie powiedział, że nie medycyny ale nauk społecznych. Zaaplikowałem mu porządną lekową *mikst* z tabletek jakie miałem.

Rankiem wstałem bardzo wcześnie. Zapowiadał się kolejny piękny, pogodny dzień. Udałem się na spacer po tym wyjątkowym miejscu. Paiju to oaza zieleni pośród szaro brunatnych górskich szczytów, których wierzchołki pokrywała biała śnieżna czapa. Stało tu kilka prowizorycznych parterowych budynków i nowoczesnych plastikowych toalet. Niestety, samo ich postawienie nie rozwiązywało problemu, bowiem nikt ich nie sprzątał a biegunki miało wielu. Zatem niewiele osób próbowało z nich korzystać. W jednym z budynków działał nawet sklepik. Wokół kwitło wiele roślin w tym całkiem spore krzaki dzikiej róży. Usiadłem na wielkim granitowym głazie i chłonałem ten niezwykły widok. Po drugiej stronie ogromnej lodowcowej rzeki, jakieś sto metrów poniżej, powoli poruszała się karawana mułów. Z tej perspektywy dobrze było widać jak mały jest



Oprócz namiotów, prowiantu dla całej ekipy mieliśmy też kurczaki i czarną kozę

człowiek. Z zamyślenia wyrwał mnie głos chłopaka, któremu wczoraj pomogłem. Kilkakrotnie dziękował mi za leki. Czuł się już dobrze a żołądkowe dolegliwości podobno całkiem ustąpiły. W sumie cały dzień poświęciłem na odpoczynek.

To była dobra decyzja. Wcześniejsze wyprawy nauczyły mnie, że nie należy podczas ich trwania się forsować. To nie był dobry czas na uprawianie jakiś sportów czy popisywanie się swoimi możliwościami. Należało natomiast każdą wolną chwilę wykorzystać na odpoczynek. Moje dolegliwości póki co ustąpiły i szło mi się tego dnia całkiem dobrze. Niebawem weszliśmy na czołową morenę wielkiego lodowca Baltoro. Dokładniej mówiąc, był to zespół lodowców, rozciągający się na długości ok. 62 km. Wzdłuż niego usadowiły się aż 4 ośmiotysięczniki: K2, Broad Peak, Gaszerbrum I i II oraz cała plejada szczytów powyżej 7 tys. Ale to było jeszcze przed nami. Na razie przyszło nam się zmagać z ciągłymi stromymi podejściami i zejściami, by ominąć potężne szczeliny. Lodowiec usiany był luźnym materiałem skalnym, co dodatkowo utrudniało poruszanie się po nim. Niebawem cztery osoby z naszego teamu osłabły na tyle, że zostały daleko w tyle. Późnym popołudniem, już w strugach deszczu, po pokonaniu w trudnym terenie 15km, doszliśmy do Khoburse Camp (3816m).

Kolejny etap był krótki (6km) co nie znaczy, że łatwiejszy. Cały czas wędrowaliśmy po lodowcu. Było tu sporo długich podejść i zejść. Do tego padał deszcz, okresami bardzo intensywny. Ok. godz. 13 dotarliśmy do Urdukas (4168m). O dziwo było tu sporo zieleni, plastikowe toalety takie same jak

w Paiju a poniżej baza wojskowa. Codziennie wzdłuż naszego szlaku latały wojskowe śmigłowce. Tutaj chyba uzupełniały paliwo, bowiem w przyzmy ułożono setki jak nie tysiące kanistrów. Byłem świadkiem, jak jeden z pilnujących tego wojskowego składu Pakistańczyków przyniósł taki kanister pod nasze obozowisko. Kucharze przelali z niego paliwo do plastikowych pojemników (używali go do specjalnych kuchenek do gotowania posiłków) a do kanistra włali wodę! Pogoda się poprawiła i wyszło słońce. Od razu zrobiło się bardzo ciepło. Wędrująca dotąd dzielnie z nami koza tu straciła życie. Nikt z nas nie chciał jej zjeść, więc pakistańska ekipa zrobiła to sama. Po raz pierwszy od wyruszenia z Askole udało mi się umyć.

Do obozowiska Goro II (4319m) położonego 13km od Urdukas szliśmy w doskonałej pogodzie. Marsz utrudniał pofałdowany lodowiec i szczeliny w nim występujące. Na miejsce dotarliśmy ok. godz. 14.30. Połowa ekipy miała w tym dniu problemy żołądkowe. U mnie także się pojawiły choć w mniejszym natężeniu, niż poprzednio.

Następnego dnia, od rana, niebo się zachmurzyło co nie wróżyło niczego dobrego. Do Concordii (4575m) szliśmy aż 8 godz. (12,5km). Powodem tak długiego marszu był rozstrój żołądka części ekipy oraz wyczerpanie fizyczne kilku osób. Concordia to miejsce, w którym łączą się trzy lodowce: Baltoro, Godwin-Austen i Górny Baltoro. Tu na wypłaszczeniu lodowca usadowiło swoje obozowiska kilka agencji operujących w tym rejonie. Nie było toalet a wodę czerpało się z sadzawek lub nielicznych strumieni z czystą



FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY

Concordia. Za mną K2, po prawej Broad Peak

wodą. W obozowisku działało WiFi (zasilane z paneli słonecznych) a zatem po raz pierwszy od wyjazdu ze Skardu była możliwość zadzwonienia do domu. Wieczorem na chwilę się roz pogodziło i za chmur wyszło słońce oraz poprawiła się widoczność.

Szczyty wokół Concordii zapierały dech w piersiach. Na wprost wejścia do naszego namiotu jako pierwszy z ośmiotysięczników pojawił się K2 (8611m) najwyższy szczyt Karakorum i drugi co do wysokości szczyt Ziemi. Stromo wznosił się jakieś 3 km nad naszym namiotem. Po chwili, na południowy wschód od K2, pojawił się posiadający kilka wierzchołków Broad Peak (8051m) a jeszcze dalej na wschód cała plejada Gassebrunów (w sumie 7) z najwyższym Gassebrunem I (8080m). Wszystkie te szczyty leżały na spornym pograniczu pakistańsko-chińskim. Do tego dochodził spór z Indiami o cały Kaszmir a więc i Baltoro. Trzeba było mieć trochę szczęścia, by trafić w to miejsce w czasie w miarę spokojnym.

W nocy padał rzęsy deszcz i nasz namiot zaczynał przeciekać. Rankiem jednak się roz pogodziło. Stan ekipy nie był najlepszy, więc podjęliśmy decyzję o pozostaniu w Concordii. Przedpołudnie poświęciliśmy

na trening wspinaczki lodowej z zastosowaniem raków, jumara i lin poręczowych. Jeden z członków ekipy potknął się i wbił kolec z raka w kolano. Obserwując jego poczynania miałem wrażenie, że w rakach poruszał się po raz pierwszy w życiu. W tym czasie pojawiła się wracająca spod K2 ekipa Rosjan z agencji 7Summits. Nocowali w Bazie, z której musieli bardzo wcześniej wyjść. Zmęczeni powoli schodzili z wielkiej lodowej moreny. Niektórzy mieli na stopach sandały co sugerowało poważne obrażenia.

Po południu wybrałem się na spacer po okolicy. W pewnej odległości od obozowiska usiadłem na kamieniu i pograżyłem się we własnych myślach. Przed laty, na osiemnaste urodziny, dostałem książkę „Himalaje – Karakorum” Kazimierza Sayse-Tobiczyka z piękną dedykacją. Przeczytałem ją kilkakrotnie. Nie przypuszczałem, że po latach stanę w miejscach w niej opisywanych. Z zadumy wyrwały mnie głośnie trzaski i jakby mruczenie. To lodowiec przypominał o swoim istnieniu. Powoli zapadał zmierzch i należało wracać do obozowiska.

Wstaliśmy bardzo wcześnie i pomimo złej pogody i kiepskiej widoczności o godz. 5

rano ruszyliśmy w 8 osób (z 10) w kierunku Bazy pod K2. Marsz po morenie, wśród niezliczonych głazów, utrudniał nam życie. Gdzieś po dwóch godzinach zesliśmy na lodowiec, który był ich pozbawiony. Tempo marszu od razu wzrosło. Ok. godz. 9 dotarliśmy do Bazy pod Broad Peak (4850m). Tu spotkaliśmy polską ekipę z Rafałem Fronią na czele. Poczęstowali nas prawdziwą parzoną kawą, która od wyjazdu z Islamabadu była dla nas niedostępna. Właśnie się pakowali po 28 dniach prowadzenia działalności na tej górze. Ich celem nie było jednak ponowne wejście na szczyt ale pochowanie w godnym, oddalonym od drogi wspinaczkowej miejscu Tomasza Kowalskiego, który 10 lat temu, 6 marca 2013 roku, po zdobyciu szczytu zginął wraz z Maciejem Berbeką.

Trzy godziny później dotarliśmy pod Kociopek Gilkeya. To zarazem pomnik i grobowiec dla tych, którzy zginęli podczas wspinaczki na K2 (ale także Broad Peak). Sam pomnik to kawał dość kruchej skały, dzisiaj o wysokości ok. 70m (lodowiec stale topnieje co powoduje obniżenie terenu), do której przymocowano metalowe tabliczki z informacjami o zmarłych wspinaczach.

Niemal na jej szczycie, w miejscu bardzo wyeksponowanym, znajdowała się tablica poświęcona Maciejowi Berbeci i Tomaszowi Kowalskiemu. Polskich tabliczek było tu całkiem sporo. Przez chwilę pomodliłem się o spokój duszy dla tych, którzy idąc za pasją życia zostali w tych górach na zawsze. Już w strugach deszczu dotarliśmy do położonej w pobliżu Bazy pod K2 (4980m), gdzie przygotowano dla nas lunch. Sama baza zrobiła na mnie bardzo korzystne wrażenie. Panował tu ład, porządek i spory ruch. Letni sezon wspinaczkowy był w pełni. Wokół namiotów było czysto i schludnie. Mesa była wyścielona dywanami co w tym odległym od cywilizacji miejscu wyglądało surrealistycznie. W bazie pracowała elita *Jasmine Tours*. Chłopacy robili wszystko, by wspinacze mogli jak najlepiej przygotować się do wejścia na szczyt.

W drodze powrotnej do Concordii mocno padało i po lodowcu płynęły wartkie strumienie. Do namiotów dotarliśmy cali przemoczeni. W sumie pokonaliśmy tego dnia 25km. Wieczorem czekała na nas niespodzianka. Kucharz upiekł tort, który udekorował napisem „Well com – to K2”. Smakował wybornie. Z naszej ekipy 4 osoby postanowiły zakończyć wędrowkę i wrócić do Skardu. Spowodowało to konieczność podzielenia pakistańskiej ekipy. Wtedy okazało się, że liczyła ona aż 38 osób. Kolejny dzień spędziliśmy także w Concordii bowiem nadal mocno padało. Czwórka, która postanowiła zawrócić pomimo opadów rozpoczęła schodzenie. Jeżeli pogoda się nie poprawi być może będziemy zmuszeni zrobić to samo.

Jednak rano przywitał nas promieniami słońca. Zanim ruszyliśmy do Ali Camp (4965m) wystawiliśmy na zewnątrz namiotów mokre śpiwory i maty, by choć trochę przeschnęły. Pakistańczycy zorganizowali coś na wzór wspólnej modlitwy (wszyscy byli muzułmanami). Czuło się, że obawiają się dalszej drogi. Jeszcze przed południem pogoda znowu się pogorszyła i niemal bez przerwy padał deszcz. Pokonanie ostatniego ok. kilometrowego odcinka (w sumie było 11 km) zajęło nam ponad godzinę. Weszliśmy bowiem na wielkie pole śnieżne (nie dało się go ominąć) pokrywające lodowiec. Warstwa mokrego śniegu liczyła od 0,5 nawet do 1 m grubości. Co chwilę zapadaliśmy się po uda w tej brei a do butów wlewała się woda. Na szczęście założyłem rezerwowę. Gdy dotarliśmy do Ali Campu była godz. 13 i trochę się rozpogodziło. Samo obozowisko usytuowane było powyżej lodowca i śnieżnego pola na dość stromym stoku pokrytym wielkimi gła-



Kopiec Gilkeya - pomnik i grobowiec dla tych, którzy zginęli podczas wspinaczki na K2

zami. Było tu mało miejsca pod namioty. W moim, spod podłogi sterczały całkiem spore kamienie, co wymuszało dość nietypowe ułożenie ciała. Szybko przepakowaliśmy plecaki i przygotowaliśmy niezbędny sprzęt. Ustaliliśmy z Pakistańczykami, że jeżeli pogoda się utrzyma to o godz. 23 ruszymy w drogę. Oni nie byli aż takimi optymistami. Wręcz przeciwnie, poinformowali nas, że jeżeli pogoda ponownie się zepsuje to będziemy musieli zawrócić, bowiem nie będą ryzykować utraty życia podczas przejścia tą trasą.

Po kilku godzinach nerwowej drzemki, o godz. 22 wstaliśmy i udaliśmy się do mesy na śniadanie. Niebo na Ali Campem było niesamowicie wygwieżdżone. Szybko udało

mi się odnaleźć gwiazdozbiór Andromedy, w którym znajdowała się jedyna widoczna gołym okiem na Półkuli Północnej galaktyka M31. Tak jak ustaliliśmy o godz.23 ruszyliśmy na przeł. Gondogoro (5625m). Jej wysokość jest różnie podawana i wynosi od 5600m nawet do 6 tys. Przez najbliższe dwie godziny pogoda była stabilna. Niestety później zaczął padać deszcz a następnie mokry śnieg. Ale możliwości odwrotu już nie było. W świetle czołówek trudno było zobaczyć gdzie się stawia stopy. Od czasu do czasu zapadaliśmy się w śniegu po pas. Do naszej ekipy dołączyło dwóch pakistańskich ratowników górskich. To oni wzięli na siebie przeprowadzenie nas przez przełęcz. Znali drogę na tyle dobrze, że mogli



Po powrocie spod K2 czekała na nas niespodzianka - tort

się po niej poruszać z zamkniętymi oczami. Niebawem pojawiła się stroma ściana, której pokonanie bez lin poręczowych byłoby niemożliwe (średnie nachylenie $\pm$ – 55 stopni). Założyliśmy uprząże i przy pomocy jumarów ruszyliśmy w górę. Liny były długie (po jakieś 60m), leżały na śniegu i były złodowaciałe co powodowało, że jumar nie zawsze trzymał. Należało bardzo uważać. Zanim dotarliśmy na przełęcz musieliśmy się kilkanaście razy przepinać, co spowalniało wspinaczkę.

Gdy się rozwidniło zobaczyliśmy zwisające nad nami ogromne lodowe seraki. Ściana wydawała się nie mieć końca. Wreszcie stanęliśmy na przełęczy. Niestety pogoda ograniczała widoczność do zaledwie kilkudziesięciu metrów. Mocno też wiało. Tu, po zrobieniu pamiątkowego zdjęcia, pożegnaliśmy pakistańskich ratowników. Twierdzili, że byliśmy pierwszą ekipą, która w tym roku stanęła na przełęczy. Kilkuset metrowe (w pionie) zejście do doliny Gondogoro (również po poręczówkach) to była najniebezpieczniejsza część całej wędrowki. Wystarczył jeden błąd i można było zaliczyć co najmniej pięciuset metrowy lot. Według Pakistańczyków na tym zejściu

giną rocznie 2-3 osoby. Oprócz poślizgu istnieje tu niebezpieczeństwo lawin i to zarówno śnieżnych jak i kamiennych.

Gdy te śmiertelne schody się skończyły rozpoczął się długi trawers, najpierw w śniegu potem w skale. Pogoda się poprawiła i zaczęło nawet świecić słońce. Przed nami pojawiła się gigantyczna Laila Peak (6096m). Po dwunastu godzinach i pokonaniu ok. 9 km., o godz. 11 dotarliśmy do obozowiska Kispang (4695m). Był to inny świat. Nagle znaleźliśmy się na przepięknie ukwieconej łące. Dziesiątki roślin kwitły tworząc kolorowy dywan. Obozowisko też było inne niż te, w których zatrzymywaliśmy się dotychczas. Było tu kilka kamiennych budyneczków, w tym sklepik, oraz wymurowane toalety. Od razu na namiotach rozwiesiliśmy co tylko się dało, by wyschło i pozbyło się zapachu stęchlizny.

Wczesnym rankiem zwinęliśmy namioty i ruszyliśmy do Saicho (3434m). Po trzech godzinach marszu z ulgą pożegnaliśmy lodowiec. Teraz wędrowaliśmy po wspaniałych kwitnących i bajecznie pachnących himalajskich łąkach. Pogoda się ustabilizowała i było bardzo ciepło. Po pokonaniu 17 km dotarliśmy do obozowiska. Usytuowa-

no go w widłach dwóch rzek. Rosło tu już wiele drzew, w tym skarłowaciałe formy cedru i cyprysu himalajskiego. Obozowisko się rozwijało i w trakcie budowy było tu kilka parterowych budynków. Dopiero tutaj moje buty tak naprawdę wyschły. To była nasza ostatnia noc w namiotach.

Ostatni dzień pieszej wędrowki po dzikich, niezaludnionych terenach Karakorum miał zaledwie 12 km. Gdy podsumowałem wszystkie odcinki to okazało się, że pokonaliśmy pieszo 159 km. Po dotarciu do granicy parku w miejscowości Hushe (3048m) wypełniliśmy wymagane tu formularze i udaliśmy się do pobliskiego *Rufugio Hotel*. Powodem naszej wizyty w tym miejscu był brak możliwości dotarcia do Hushe jeepów, które miały nas zawieźć do Skardu, bowiem jeden ze strumieni przerwał drogę. Sama miejscowość była typową wioską rolniczą. Wokół było wiele maleńkich pól obsianych zbożem albo obsadzonych warzywami. W oczy rzucały się skromne zabudowania wioski i także dobytek mieszkańców oraz dziesiątki małych, kolorowo ubranych dzieci, które wyszły nas zobaczyć. W Pakistanie na pewno nie mają problemów z przyrostem naturalnym.



FOT. JANUSZ PILSZAK - PTT KOZY

Zejscie z przeł. Gondogoro (5625m)

W tym czasie przewodnicy zajęli się organizacją jakiegoś transportu, który by nas dowiózł w miejsce przerwania drogi, a my rozsiedliśmy się w hotelowym, klimatyzowanym holu popijając zimną colę i zającąc kruche ciasteczka. Miło było wrócić do cywilizacji. Po godzinie pod hotel podjechały dwie Toyoty typu pikap. Na pakę załadowano nasz sprzęt obozowy oraz obsługę wyprawy, jakieś 18 osób. Nasza szóstka zajęła miejsca w kabinach. Do tego na progach i przednich maskach Toyot usadowiło się kilku miejscowych i w ten sposób ruszyliśmy w drogę. Mniej więcej po dwóch godzinach jazdy kamienistą, gruntową drogą dotarliśmy w miejsce gdzie górski strumień uszkodził drogę wypukując głęboki na jakieś 20 m kanion. Na drugą stronę przeszliśmy po prowizorycznej ścieżce a Pakistańczycy przenieśli cały sprzęt. Tu czekały na nas jeepy przysłane ze Skardu.

Późnym popołudniem dotarliśmy do *Concordia Motel*. Od razu przystąpiliśmy do generalnego suszenia rzeczy. Na barierce w ogrodzie rozwiesiliśmy śpiwory i ciuchy. Należało także odpowiednio zakonserwować i spakować sprzęt wspinaczkowy. Wór transportowy spakowałem w taki sposób, by go można było rozpakować dopiero w domu. Następnie wyruszyłem do miasta. Podczas poprzedniego pobytu znalazłem sklepik z miejscowymi wyrobami jubilerskimi. Teraz kupiłem w nim jako prezenty dla bliskich kilkanaście branzoletek z naturalnymi kamieniami. Wieczorem w motelowym ogrodzie pojawiła się ekipa wspinaczy spod Broad Peak. Planowo mieli wylecieć do kraju 30 lipca. Pomimo prób, nie udało się im przebukować biletów lotniczych, zatem mieli kilka dni do zagospodarowania. Była to okazja do porozmawiania nie tylko o ich ostatniej wyprawie.

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy w dwudniową podróż do Islamabadu drogą *Karakorum Highway*. Po sugestii jednego z kolegów, inaczej niż było to w planie, zmieniliśmy miejsce gdzie zamierzaliśmy przenocować. Zamiast do Gilgit pojechaliśmy do Chilas, które ponoć jest o wiele ładniejsze. Skąd miał taką wiedzę nie było wiadomo. Przyjechał po nas pojazd, który lata świetności już dawno miał za sobą. Miał rozbity przednią szybę po obu stronach. Sklejono ją jakąś przeźroczystą taśmą. Kierowca, około 40-letni Pakistańczyk i jego trochę młodszy pomocnik prawie nie mówili po angielsku za to cały czas obejmowali się i przytulali do siebie. Najpierw zajechaliśmy na dworzec autobusowy w Skardzie. Tu nasz kierowca od szefa otrzymał wskazówki jaką drogą ma jechać.



Po drugiej stronie przeł. Gondogoro - Laila Peak (6096m)

Gdy wyjeżdżaliśmy z dworca drogowy wskazywał, że do Islamabadu mamy 640 km. Aż do Chilas jechaliśmy całkiem przystojną asfaltową drogą cały czas ciągnącą się wzdłuż Indusu. Widać było, że od lat prowadzono tu bardzo intensywne prace inżynierskie używając przy tym tony materiałów wybuchowych. Ale i tak budowniczym nie udało się całkowicie zabezpieczyć tej drogi przed osuwiskami. Powodowały one zawężenie drogi, często pojawiały się niespodziewanie, tuż za zakrętem co zmuszało kierowcę do gwałtownych reakcji. Około godz. 13 zatrzymaliśmy się w małym miasteczku na lunch. Nasze pojawienie się wzbudziło sensację wśród miejscowych. Podano duszone warzywa i ryż oraz trady-

cyjny chleb ale nie podano talerzy. Tu każdy jadł ze wspólnej miski i to bez sztućców.

Po godzinie ruszyliśmy w dalszą drogę. Dwóch miejscowych próbowało się z nami zabrać ale kierowca miał zakaz zabierania kogokolwiek. W końcu zgodził się i chłopcy weszli na dach naszego pojazdu. Temperatura dochodziła do +35 stopni. W busie nie było klimatyzacji więc by się nie udusić mieliśmy otwarte wszystkie okna. Wiatr i kurz hulał po całym pojeździe. W późnych godzinach popołudniowych dotarliśmy do Chilas. Miasteczko było jeszcze bardziej zaniedbane niż Skardu. Działo tu wiele prowizorycznych warsztatów samochodowych. Zamieszkaliśmy w *Panorama Hotel*. Przypominał nasze hotele z okresu Gierka,



Karakorum Highway

na co wskazywało nawet hasło do Internetu: *pakistan1970*. Ale za to miał piękny, dobrze utrzymany ogród. Rosły w nim liczne drzewa granatu oraz cytryny a trawnik sycił oczy soczystą zielenią.

Po zakwaterowaniu i szybkim prysznicu udałem się na poszukiwanie sklepu, by zrobić zapasy wody. Po zatłoczonej ulicy co chwilę przejeżdżały wojskowe pikapy z ciężką bronią maszynową na dachach. Na szczęście sklep był w pobliżu. Gdy z niego wyszedłem, kilkadziesiąt metrów dalej, zaczął się gromadzić tłum miejscowych. Nie wiadomo skąd nagle pojawił się wojskowy patrol i nakazał mi natychmiast udać się do hotelu. Noc była bardzo ciepła i w pokoju było potwornie duszno. Wstałem tuż przed świtem i usiadłem w ogrodzie, w którym właśnie rozpoczął się poranny koncert w wykonaniu licznie mieszkających tu ptaków.

Z Chiala wyjechaliśmy ok. godz. 7. Z jakiegoś powodu nasz pakistański kierowca nie jechał nadal drogą nr 35 ale skręcił w drogę N90 ciągnącą się wzdłuż Indusu. Podobno, ta którą mieliśmy jechać była zalana i nieprzejezdna. Niestety nikt tego nie mógł potwierdzić. Oznaczało to, że będziemy musieli sporo kilometrów nadtożyć. Napotkany niebawem drogowszak informował, że do Islamabadu zostało nam 420 km (a miało być 320). Jego pomocnik nadal cały czas go obejmował i przytulał się do niego. Rano zauważyliśmy na dłoniach obu Pakistańczyków obrączki. Wyglądało na to, że tej nocy się zaręczyli. Niebawem wjechaliśmy na teren budowy ogromnej, ciągnącej się przez co najmniej kilkadziesiąt kilometrów zapory wodnej realizowanej przez Chińczyków. Oznaczało to liczne postoje na posterunkach wojskowych i kontrole dokumentów. Mało tego, na czas prowadzenia prac zamykano odcinki tej drogi. I tak do godz. 12 przejechaliśmy nie więcej niż 60 km. Nikt się nas tu nie spodziewał. Bardzo uprzejmi okazali się pakistańscy policjanci. Starali się nam pomóc jak tylko się dało. Zwykle przesuwali nasz bus na początek kolejki. Często jechaliśmy nad kilkaset metrowymi

przepaściami. Najgorzej było wyminąć się z ogromnymi, bajecznie kolorowymi ciężarówkami. Niektóre odcinki tej drogi zostały dopiero co oddane do użytku i były w bardzo dobrym stanie. Jednak jej wielkość trudno było nawet nazwać drogą gruntową. Zewsząd otaczały nas bezkresne, szaro-brązowe góry.

Przejeżdżaliśmy przez liczne wioski i miasteczka. Nie zawsze byliśmy tu mile widziani. Wszystkie były bardzo podobne do siebie. Główna ulica stanowiła zarazem centrum handlowe z licznymi prowizorycznymi straganami. Spacerowały po niej kozy i krowy nic sobie nie robiąc z chaotycznie poruszających się we wszelkich możliwych kierunkach pojazdów. Ok. godz. 18 wreszcie skończyła się kamienista droga a i góry były niższe. Wjechaliśmy na asfaltową drogę, która stopniowo przeszła w dwupasmową. Do przejechania pozostało nam jeszcze 230 km.

Stolica Pakistanu, przywitała nas deszczową pogodą. Gdy wjechaliśmy do centrum miasta kierowca pogubił się całkowicie i nie wiedział gdzie ma jechać. Nie chciał, a właściwie to nie potrafił skorzystać z nawigacji z naszych telefonów, która o dziwo działała tu całkiem dobrze. Wpadł za to na inny pomysł. Zatrzymał jednego z motocyklistów, który za obiecaną nagrodę pieniężną miał nas zaprowadzić pod hotel. I tak się stało. O godz. 22.30 zaparkowaliśmy przed jednym z lepszych hoteli w tym mieście. Na parkingu czekał na nas szef agencji *Jasmine Tours* a przed hotelem bramka pirotechniczna i kilku policjantów, którzy dokonywali kontroli osobistej. Obsługa szybko wniosła nasze bagaże i przydzielono nam pokoje, po czym udaliśmy się na obiadokolację. Następnie był prysznic i przepakowywanie bagaży, by ich zawartość była zgodna z przepisami linii lotniczych, oraz chwila na drzemkę. Niestety, o godz. 1.30 musieliśmy opuścić hotel i udać się na lotnisko.

Znowu jechaliśmy w potwornym deszczu co chyba było tu regułą. Odprawa przebiegła bez jakichkolwiek problemów.

Mając trochę czasu, udałem się do pobliskiego stoiska, by pozbyć się pozostałych rupii pakistańskich. Kupiłem jakieś orzeszki, trochę batoników i wodę. Przy kasie okazało się, że brakło mi jakieś 200 rupii. Pokazałem kasjerowi pusty portfel. Machnął ręką i podarował mi brakującą kwotę. Punktualnie o godz. 5.05 wystartowaliśmy w kierunku Stambułu. Tureckie narodowe linie nie zawiodły i tym razem i niebawem dostaliśmy porządne śniadanie. Cały, ponad sześciogodzinny lot przespałem.

Po wylądowaniu w Stambule pojawił się pomysł udania się do centrum miasta, przede wszystkim by zwiedzić Hagia Sophia. Zrezygnowałem z niego. Gdy przeszliśmy wymagane odprawy była godz. 10 a do odlotu kolejnego samolotu pozostało trochę ponad 6 godz. By dojechać do centrum należało skorzystać aż z trzech linii metra, a następnie przejść jeszcze spory kawałek drogi pieszo. Moja decyzja okazała się słuszną. Po powrocie tych co zdecydowali się na tę wycieczkę okazało się, że gdy dotarli pod *Hagia Sophia*, kolejka do wejścia miała kilkaset metrów, więc zrezygnowali i wrócili z niczym na lotnisko niemal w ostatniej chwili.

Samolot do Warszawy wystartował z niewielkim opóźnieniem. Na pokładzie podano smaczną i obfitą kolację (wiadomo *Turkish Airlines*) pomimo, że lot miał trwać niecałe dwie godziny. Tym samolotem wracało do kraju wielu naszych rodaków i wielką popularnością cieszyło się tureckie wino, którego obsłudze niebawem zabrakło. Wylądowaliśmy punktualnie. Jeden z członków naszej grupy mieszkał w na Śląsku i przyjechał po niego na lotnisko samochód. Trochę na siłę wprosiłem się i zabrałem z nimi do Katowic. Po 2,5 godzinnej podróży wysadzili mnie na parkingu pod *Galerią Katowicką*. Gdy wyjechałem windą na poziom zero to okazało się, że obok jest kasa biletowa. Kupiłem bilet i dziesięć minut później już jechałem do Bielska-Białej. 30 lipca, 15 minut po północy, dotarłem do domu. Przez następne dwa dni, na przemian spałem i jadłem aż wreszcie doszedłem do siebie. ■

CO SŁYCHAĆ?

INFORMATOR POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

WYDAWCA: ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

REDAKCJA: SZYMON BARON, TOMASZ KWIATKOWSKI, AGATA PODGÓRSKA

SKŁAD: NIKODEM FRODYMA

ADRES REDAKCJI: UL. ZAWILCÓW 1, 43-374 BUCZKOWICE, E-MAIL: PRACOWNIA@PTT.ORG.PL, TEL.: +48 661-536-667

WERSJA ELEKTRONICZNA „CO SŁYCHAĆ?” JEST DOSTĘPNA NA STRONIE:

WWW.PTT.ORG.PL